

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(90) 2018

Wspomnienie o Tadeuszu Rutowskim ♦ Opowieść o Kazimie-  
rze Nałęcz-Rychłowskim ♦ Rozmowa z Janem Wingraikiem  
♦ Proza Wiesława Helaka ♦ Wiersz Krzysztofa Kołtuna ♦  
Natalia Tarkowska o Polakach z Kosowa ♦ Michał Piekarski  
o muzyce Lwowa i Krakowa ♦ Karolina Grodziska o Lewiku

---

## Karawana idzie dalej...

Bieżący rok jest dla Polaków szczególny. Obchodzimy jubileusz 100-lecia odzyskania niepodległości. Będziemy się starali na łamach naszego pisma przypominać ludzi i wydarzenia związane z tą pamiętną datą. Rok 1918 to zakończenie I wojny światowej, listopadowe dni obrony Lwowa, pełzająca aż do roku 1919 wojna polsko-ukraińska, która szybko zamieniła się w wojnę polsko-bolszewicką roku 1920.

W bieżącym numerze polecam opowieść o legendarnym prezydencie Lwowa – Ta-deuszu Rutowskim. Napisał ją przed laty nieżyjący już działacz Polonii w USA – Jan Morelowski. O bohaterach traktuje też artykuł Jana i Piotra Świtalskich opowiadający o sześciu obrońcach Ojczyzny, synach Heleny Świtalskiej, która spoczęła na Cmentarzu Łyczakowskim w 1937 r. Wzruszają też opowieści Natalii Tarkowskiej o ostatnich Polakach żyjących jeszcze w Kosowie oraz Agnieszki Solarewicz – o Kazimierzu Nałęcz-Ry-chłowski, tłumaczu romantyków i formistów francuskich.

Przygotowując teksty do *Cracovia-Leopolis* zawsze pamiętam, że opowiadamy o świecie, którego już nie ma albo z wolna odchodzącym do przeszłości... Mam świadomość, że nasza praca to próba uchronienia od zapomnienia ludzi i wydarzeń, w których uczestniczyli. Stąd mój udział w tym przedsięwzięciu.

Zawsze powtarzano mi, że jak dojrzęję (czytaj: postarzęję się), inaczej zacznę postrzegać świat. Mówią, że człowiek z czasem łagodnieje, nabiera dystansu do otaczającej go rzeczywistości, czyli – jak mówią młodzi – *spoko i luzik*... Niestety nie wszystkich to dotyczy. Są wśród nas tacy, którzy im starsi, tym stają się bezwzględniejsi, zadziorniejsi, bardziej uparci. I choćby wszystko wokół było kolorowe, dla nich będzie czarne i już. Depresyjne klimaty, zawiść prowadzą do niesnasek, które niszczą osiągnięcia i motywację do jakiegokolwiek pracy. Na szczęście nie wszystkich to dotyczy, bo inaczej nie byłoby stowarzyszeń takich jak TMLiKPW. Z radością uczestniczę w życiu naszego Towarzystwa, na którego spotkaniach z roku na rok pojawia się jednak niestety coraz mniej osób. Z lekkim spoglądam na salę naszych spotkań i zadaję czasem zaprzyjaźnionym Kresowianom pytanie: Gdzie są Wasze dzieci, Wasi wnukowie?...

Od dawna już wiem, że nasze pismo, choć było zakładane z myślą o Was – Kresowianach – musi dzisiaj być adresowane i docierać do innych czytelników, interesujących się Kresami, historią Polski, podróżami; do uczniów, szczególnie tych, którzy za patrona szkół obrali Lwowskie Orleża. Jeśli oni nie będą pamiętać o Kresach, wszyscy o nich zapomną... Zostaną jednak na półkach bibliotek książki i czasopisma kresowe – jako jedyny ślad pamięci narodowej o Kresach. Dlatego tak ważne jest istnienie czasopism takich jak *Cracovia-Leopolis*, *Semper Fidelis* i wielu innych wciąż jeszcze ukazujących się pism w Polsce. Nie można tego dorobku zaprzepaścić. Trzeba szukać nowych odbiorców, nowych autorów. Współpracujmy, wspierajmy się, pomagajmy!

W roku bieżącym otrzymaliśmy dotację z Urzędu Miasta Krakowa. Serdecznie dziękujemy Panom Jackowi Majchrowskiemu i Andrzejowi Kuligowi – Prezydentom Miasta Krakowa, oraz Katarzynie Olesiak – dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK, a także wspierającym nas Radnym Miasta Krakowa. Przez lata Gmina Kraków dowartościowywała nasze pismo – znane nie tylko w Polsce. Mam nadzieję, że teraz też sprostamy oczekiwaniom naszych darczyńców...

Życząc Państwu miłej lektury, pragnę podziękować za miłe i ciepłe słowa płynące od Was, dzięki którym o wiele łatwiej nam się pracuje nad kolejnymi numerami *Cracovia-Leopolis*.

Janusz M. Paluch

---

Jan Morelowski

# Wspomnienie o wielkim Polaku

*Przypominamy sylwetkę niezłomnej postaci – prezydenta miasta Lwowa dra Tadeusza Rutowskiego. Wybitnego ekonomisty i prawnika, polityka i pisarza. W tym roku minęło sto lat od jego śmierci. Obowiązki prezydenta miasta Lwowa przyszło mu pełnić w trudnych latach I wojny światowej. Poniższy tekst, pióra Jana Morelowskiego, powstał w 1978 r. w Ameryce. Autor był działaczem polonijnym, aktywnym członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej. Jemu przypisuje się założenie Komitetu Obywatelskiego w Obronie Polski przy KPA, którego celem było uwolnienie Polski spod komunistycznego jarzma wszelkimi dostępnymi środkami.*

*Czytelników chcących poznać biografię Tadeusza Rutowskiego odsyłamy do książki pani prof. Henryki Kramarz „Tadeusz Rutowski. Portret pozytywisty i demokracji galicyjskiego”.* (jmp)

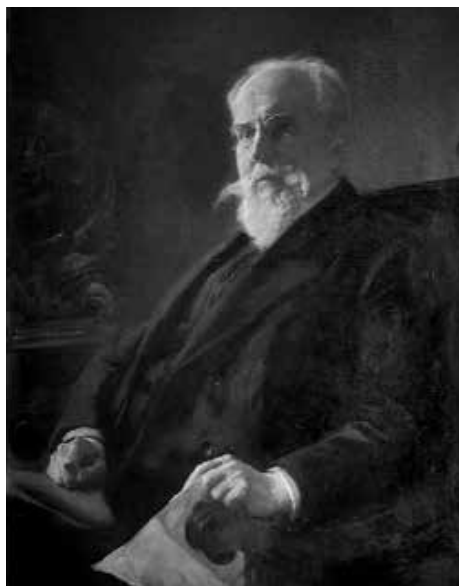
Człowiek wybitnych zasług jako polityk, ekonomista, prawnik i pisarz – dr Tadeusz Rutowski, pozostał w pamięci narodu przede wszystkim jako niezmiernie zasłużony długoletni wiceprezydent, a potem prezydent miasta Lwowa. Prezydenturę sprawował w nader ciężkim dla Lwowa okresie, bo w czasie I wojny światowej, w szczególności także przez cały czas trwania okupacji rosyjskiej.

Kult zasług Rutowskiego istniał już za jego życia.

Kiedy, wywieziony w czerwcu 1915 jako zakładnik przez wycofujące się ze Lwowa władze okupacyjne carskie, przebywał w niewoli rosyjskiej, ukazała się we Lwowie w roku 1917 książka dr Stanisława Łempickiego pt. *Tadeusz Rutowski*. Była to biografia Rutowskiego, wymieniająca jego ogromne zasługi na różnych polach jego działalności, zwłaszcza jego zasługi jako wiceprezydenta, a następnie prezydenta miasta Lwowa. Autor podkreślił odwagę, godność i takt Rutowskiego wobec władz okupacyjnych, jak również jego troskę o umożliwienie ludności przetrwania niezmiernie ciężkich czasów wojennych.

Dowodem ogólnej dlań czci i wdzięczności był entuzjazm, z jakim ludność miasta Lwowa witała swego wracającego z niewoli rosyjskiej prezydenta w dniu 2 lutego 1917, a także głęboka żaloba, jaka okryła to miasto na wiadomość o jego, prawie nagłej, śmierci w dniu 30 marca 1918.

Zmarł w przededniu niemal wskrzeszenia Polski, on, który byłby się wolnej Polsce tak bardzo przydał. Ale też pamięć jego zasług



Portret Tadeusza Rutowskiego namalowany przez S. Batowskiego

trwała w całej pełni w okresie dwudziestolecia niepodległości.

Jednym z licznych wyrazów tej pamięci było piękne wspomnienie poświęcone mu w roku 1932 z okazji jubileuszu organizacji przez niego powołanej do życia, mianowicie Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Wspomnienie to napisał Michał Rolle pt. *Tadeusz Rutowski, pomnożyciel kultury lwowskiej*. Ukazało się ono w „Studiach Lwowskich” stanowiących tom XXXI i XXXII „Biblioteki Lwowskiej”.

Gdyby nie obecne warunki polityczne, naród polski byłby niewątpliwie w roku 1978, jako roku 60-lecia zgonu Rutkowskiego od-



Tadeusz Rutowski w czasach krakowskich

dał hołd jego pamięci. W prasie krajowej nie było jednak w ciągu tegoż roku wspomnień o nim. Tłumaczy się to jego związaniem ze Lwowem, miastem będącym poza granicami obecnej PRL.

Tym bardziej koniecznym jest, aby bodaj na emigracji przypomniano społeczeństwu tego wielkiego Polaka.

Tadeusz Rutowski urodził się w r. 1850. Ojciec jego Klemens, uczestnik powstania listopadowego, był posłem na sejm konstytucyjny austriacki z roku 1848 i jednym z pierwszych pionierów demokracji polskiej w Galicji. Stał się wzorem dla syna, bo i Tadeusz brał czynny udział w życiu politycznym jako czołowy szermierz demokracji, był też zawsze gorącym patriotą polskim, a wędrowki, jakie po ukończeniu uniwersytetu odbywał po Polsce, pogłębiły jeszcze ten patriotyzm.

Studia prawnicze ukończył w Krakowie i w Bonn.

Był wybitnym prawnikiem i ekonomistą. Pisał też książki z dziedziny ekonomii. Książkami tymi, np. doskonałą pracą *W obronie przemysłu krajowego* dał się poznać jako zdolny pisarz.

Po skończeniu studiów uniwersyteckich odbywał podróże po Europie. Zwiedzał zarówno starożytną Grecję i jej zabytki, jak galerie paryskie. Podróże te pogłębiły jego zrozumienie sztuki i zamiłowanie do niej. Stał się jej wybitnym znawcą.

Był Europejczykiem w każdym calu, miał ogromną kulturę umysłową. Ta kultura, wraz ze znajomością języków i wspaniałym darem wymowy, stała się dla niego wielką pomocą w działalności politycznej.

Jako polityk debiutował na łamach krakowskiej „Reformy”, później „Nowej Reformy”. W roku 1888 wszedł do Rady Państwa, w rok później do Sejmu Krajowego. Jego wnioski ustawodawcze obejmowały

szereg spraw doniosłych. Dbał o ochronę przemysłu, o rozwój szkolnictwa, w ogóle o podnoszenie kultury kraju. Był inicjatorem ustawy krajowej regulującej stosunki uzdrowisk klimatycznych. Zabierał nieraz głos na temat reformy wyborczej w sprawie rozszerzenia praw obywatelskich na szerokie masy społeczeństwa.

W roku 1901 założył wraz ze Stanisławem Szczepanowskim i innymi „Słowo Polskie” we Lwowie. Wszedł też do lwowskiej Rady Miejskiej, dochodząc wkrótce do stanowiska wiceprezydenta miasta. Na tym stanowisku uczynił bardzo wiele dla podniesienia Lwowa i uczynienia z niego wybitnego siedliska kultury europejskiej, a zarazem placówki polskiego ruchu umysłowego.

Niezależnie zaś od obecnych czy przyszłych losów Lwowa trzeba w imię prawdy historycznej stwierdzić, że ówczesny Lwów, stolica Galicji, promieniował polskością i kulturą na cały ten kraj w większym stopniu niż Kraków. Do odegrania przez Lwów tej roli przyczynił się w dużej mierze Rutowski jako wiceprezydent miasta.

Wspomniałem już o założeniu przez niego Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Towarzystwo to opublikowało szereg cennych monografii historycznych o Lwowie. Wzniósł też Rutowski gmach Muzeum Przemysłowego, powołał do życia Miejską Galerię Obrazów, zakupił w Rynku kamienicę króla Jana i stworzył w niej Muzeum



Jadwiga z Bogdańskich Rutowska



Tadeusz Rutowski (w środku) w towarzystwie wiceprezydentów Leonarda Stahla i Filipa Schleichera

im. Sobieskiego. Zakupił zbiory Władysława Łozińskiego. Roztaczał opiekę nad polskimi towarzystwami kulturalnymi i zabytkami sztuki.

Wszystkie jednak jego ogromne zasługi okresu wiceprezydentury błędną wobec wspaniałej roli, jaką odegrał we Lwowie w czasie okupacji rosyjskiej.

Po wybuchu wojny w lecie 1914 powstało niebezpieczeństwo zajęcia Lwowa przez Rosjan. Ewakuowano władze, co więcej, dziesiątki tysięcy ludzi opuszczało miasto w strachu przed „oswobodzicielem Słowiańszczyzny”.

31 sierpnia 1914, wobec wyjazdu prezydenta miasta, Tadeusz Rutowski, jako dotychczasowy pierwszy wiceprezydent, objął rządy Lwowa.

Nowy prezydent stworzył natychmiast Straż Obywatelską, wydał odezwę do ludności wzywającą do zachowania spokoju i godności na wypadek wkroczenia Rosjan, wydał też szereg zarządzeń zapobiegających tamowaniu normalnego życia miasta. Rada miejska trwała w permanencji, magistrat urzędował bez przerwy, prezydent prawie nie spał, by wiedzieć o wszystkim co się dzieje i póki czas wydawać potrzebne zarządzenia.

W dniu 3 września, zmuszony stanowczym rozkazem do stawienia się na rogatce Łyczakowskiej przed generałem rosyjskim, układał się z nim o warunki okupacji miasta.

Gubernatorem Lwowa był zrazu hr. Szeremetiew, człowiek wysoce kulturalny, liczący się w miarę możliwości z życzeniami Rutowskiego, który ujął go swoim taktem i powagą. Pod koniec września jednak gubernatorem został hr. Bobrinskij, który w odpowiedzi na „powitalne” przemówienie Rutowskiego, podkreślające, iż występuje jako przedstawiciel prastarego słowiańskiego i polskiego grodu, jasno i brutalnie przedstawił jako swój cel rusyfikację całej wschodniej Galicji.

Jedną z głównych trosk Rutowskiego była sprawa aprowizacji miasta i byt ludności zagrożonej głodem i nędzą, zwłaszcza że miasto odcięte było od centrów handlowych, urzędnicy i nauczyciele pozbawieni byli pensji, robotnicy i rzemieślnicy pozostali bez zajęcia, kupcy nie mieli możliwości zarobkowania. Rutowski opiekował się gorliwie wszystkimi mieszkańcami Lwowa, bez różnicy narodowości czy religii. Tworzył tanie kuchnie, herbaciarnie, instytucje dobroczynne wydające obiady; czynił starania o zaopatrzenie magazynów miejskich,

o zapobieżenie brakowi wody, jaki groził w czasie toczących się blisko Lwowa walk; w wyniku interwencji Rutowskiego, gubernator Szeremetiew przyrzekł dołożyć starań, by wodociągi w czasie walk były ocalone.

Prezydent rozdawał jałmużny, tworzył ochronki i schroniska dla dzieci, stworzył Dom Matek, Dom Pracy Kobiet. Zorganizował na wielką skalę akcję zapomogową, uzyskał od władz okupacyjnych zgodę na wypłacanie urzędnikom zaliczek.

Inicjatywa i energia Rutowskiego ocaliła byt kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Gdy Bobrinskij zarządził zamknięcie wszystkich szkół ludowych polskich, Rutowski zwrócił się do niego w tej sprawie osobnym memoriałem i uzyskał zasadniczą zgodę na stworzenie dziesięciu takich szkół. Inna sprawa, że obietnicy tej nie dotrzymano, zastaniając się brakiem lokali i podręczników. Udało się natomiast Rutowskiemu uzyskać częściowe wznowienie agend uniwersyteckich.

Wiele trudu włożył prezydent w opiekę nad młodzieżą szkolną niemogącą skupić się w szkole i w uchronienie tej młodzieży od demoralizacji ulicy i od nędzy. M.in. urządził za zezwoleniem władz rosyjskich warsztaty szkolne dla młodzieży przy dawnych szkołach.



Tadeusz Rutowski po powrocie z Rosji

W czasie mrozów zimowych Rosjanie zaczęli transportować w głąb Rosji inwalidów austriackich, ciężko nieraz rannych albo zaledwie podleczonej. Ci, którzy pozostali na miejscu, bywali po parę dni pozbawieni jedzenia, brakowało im najprymitywniejszej opieki. I nimi wszystkimi zaopiekował się Rutowski. Niemal cudem uzyskał u Bobrinskiego zgodę na „odstąpienie” mu stu ciężko rannych i niezdolnych już do walki żołnierzy austriackich. Tak powstał „Protektorat nad inwalidami austriackimi” i „Dom inwalidów” nazwany słusznie imieniem Tadeusza Rutowskiego. Instytucje te pomieściły setki inwalidów. Wielu też jeńców przeznaczonych do transportu do Rosji, nieraz zmarzniętych i wygłodniałych, uwolniło wstawiennictwo Rutowskiego. Uwolniło ono również wielu niewinnie aresztowanych obywateli lwowskich i pozalwowskich, a nawet niektórych przeznaczonych do transportu do Rosji oficerów i wojskowych austriackich, nieraz ludzi starych i chorych. Rutowski zdołał uchronić zamknięty od chwili inwazji teatr miejski od zainstalowania się w nim kijowskiej trupy operowej i doprowadzić do jego ponownego otwarcia w maju 1915 r. – wyłącznie dla przedstawień odbywających się w języku polskim.

Miał wielkie zasługi około ratowania zabytków i opieki nad sztuką. On to zapobiegł wywiezieniu Matejkowskiej *Unii lubelskiej* i wspaniałych portretów marszałków przez władze rosyjskie, które uzasadniały konieczność wywozu rzekomymi zapędami niszczyielskimi Austriaków i Niemców. Rutowski zaręczył, że obrazy te dobrze ukryje, i wziął je pod miejską opiekę.

Zasługą Rutowskiego i dra Czołowskiego było uratowanie zbiorów w Muzeum Sobieskiego oraz nabytych przez miasto zbiorów Władysława Łozińskiego. Udało się im też uratować różne cenne zbiory z prowincji, przewiezione do Lwowa, oraz archiwum Namiestnictwa Galicyjskiego.

Rutowski, który jak wspomniano, znał się na sztuce, sam też kupował obrazy wielu malarzy lub ułatwiał malarzom zbyt ich obrazów. Niezależnie od pomocy materialnej okazywał też wielką pomoc moralną mieszkańcom Lwowa, pogrążonym w depresji tym większej, że gromadzić się nie było wolno, a wszelka liczniejsza pogawędka ściągnąć mogła na siebie oko szpiegów

rosyjskich i w konsekwencji spowodować represje władz.

On sam przyjmował u siebie ludzi mających pewne wpływy w różnych kołach społeczeństwa, aby ci z kolei oddziaływali na te koła.

Gdy władze okupacyjne zawiesiły Radę Miejską w czynnościach, Rutowski spraszał radnych co pewien czas do siebie, by w przyjacielskiej rozmowie zdawać im sprawę z czynności Prezydium.

W czerwcu roku 1915 władze rosyjskie zaczęły opuszczać Lwów. Miasto wydane było na łup cofających się chmar żołdatów i kozactwa. I tu znów zaczęła się ratownicza akcja Rutowskiego. Jego zabiegi, czynione u Szeremetiewa, który pod koniec okupacji został ponownie wojennym gubernatorem Lwowa, ocaliły Lwów od zniszczenia. Nie obyło się co prawda bez napałów i pohulań. Interwencja Rutowskiego uchroniła też wielu ludzi od wywiezienia i od prześladowań. Rutowski zreorganizował i powiększył straż pożarną, by uchronić Lwów przed pożogą, wzniesioną w różnych miejscach przez uciekającego wroga, przywrócił też dawną Straż Obywatelską, by jej powierzyć czuwanie nad miastem.

Sam też czuwał nad nie naruszalnością niezbędnych instytucji miejskich, takich jak zakład wodociągowy, gazownia i elektrownia.

W niedzielę 20 czerwca 1915 r. spała na miasto tragiczna wiadomość, że Rutowskiego wywożą. Nie chciano wręcz wierzyć. Zapłakane twarze urzędników magistratu oraz tłum ludzi wpatrzonych z lękiem w okna mieszkania prezydenta, gdy ten gotował się do odjazdu, a po tym w orszak, w którym go eskortowano, były wyrazem ogólnego smutku z powodu utraty wielkiego opiekuna miasta.

Wkroczyły wojska austriackie, Lwów uwolniony był od najeźdźcy moskiewskiego. Ale boleśnie ciążyła wszystkim świadomość,

że nie ma tego, który był prawdziwym ojcem miasta, jego obrońcą, a także żywicielem i pocieszycielem ludności. (...)

Gdy 2 lutego 1917 roku, ku radości lwowian, wrócił z niewoli, objął natychmiast obowiązki prezydenta miasta. Czynił co mógł dla zagojenia ran, jakie miastu zadała wojna. Ciężkie warunki życia w więzieniu rosyjskim podkopały jednak zdrowie Rutowskiego. Miał parę ataków, z których jeden zaskoczył go w roku 1917 w czasie pobytu w Wiedniu.

Było mu danym sprawować prezydenturę Lwowa – po powrocie z niewoli, niewiele więcej niż rok.

Na święta wielkanocne 1918 postanowił wybrać się z żoną Jadwigą z Bogdańskich oraz z córką Marią w odwiedzinę do drugiej swej córki Zofii i jej męża, tj. do pp. Stanków, właścicieli majątku Krechów w powiecie żółkiewskim. Zaznaczyć należy, że prócz dwóch córek mieli Rutowscy syna Andrzeja, który w czasie I wojny światowej walczył w Legionach (w czasie drugiej wojny światowej zginął w Katyniu).

Wyjazd Rutowskich do Krechowa nastąpił w piątek 29 marca. Jeszcze wieczorem tego dnia czuł się Rutowski doskonale w gronie rodziny. Położył się spać, po północy jednak się obudził. Czuł się chory i wkrótce stracił przytomność.

Nie było wszelako żadnych wstrząśnień organizmu wskazujących na atak mózgu czy serca. Po północy spokojnie snem wiecznym. Zwłoki jego, po nabożeństwie w Krechowie, przewieziono 31 marca do Lwowa.

Wiadomość o jego zgonie wywarła we Lwowie wstrząsające wrażenie, tym bardziej że jeszcze w ciągu poprzedniego tygodnia widywano go w powozie w mieście, jak i na ratuszu, i w biurach prezydyalnych, a wygląd jego i humor niczym nie zdradzały zbliżającej się katastrofy.



Medal pamiątkowy dedykowany Tadeuszowi Rutowskiemu jako obrońcy i opiekunowi Lwowa

Aleksandra Solarewicz

## Kazimierz Nałęcz-Rychłowski (1878–1941)

*Zapomniany tłumacz romantyków i symbolistów francuskich*

Mają swoje losy książki. Mają i kreślowanie. 1 września 1939 roku na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie miano wystawić *Zbójców* Friedricha Schillera w nowym tłumaczeniu, którego autorem był lwowski publicysta, poeta i tłumacz Kazimierz Nałęcz-Rychłowski. W 1929 r. z powodzeniem wystawiono jego *Marię Stuart* w przekładzie wierszem. Do wrześniowej premiery *Zbójców* już nie doszło, a rękopis zdeponowany w Teatrze zaginął. Dla utalentowanego poety i poligloty zaczął zapadać zmierzch.

### JAK SZKOŁA PRZESZKADZA TALENTOM

Nałęcz-Rychłowski – szlachecki ród senatorów z Wielkopolski – nie byli wyśadzonymi z siodła. Majątki tracili stopniowo. Kiedy Feliksa z Bethleyów przenosiła się z Płocka do Krakowa, była wdową po Brunonie, urzędniku gubernialnym. Wraz z czwórką dzieci zamieszkała w kamienicy należącej do szwagra Władysława przy Wielopolu 8, oddając się pod jego opiekę. Warunek mecenatu nad osieroconą rodziną: małżeństwo Władysława z najstarszą bratanicą Stasią<sup>1</sup>. Największą nadzieją rodziny był jednak starszy z dwóch synów Felicji i Brunona, urodzony 7 stycznia 1878 Kazimierz Lucjan.

W 1895 Kazimierz Nałęcz-Rychłowski ukończył klasyczne Gimnazjum św. Jacka „z pierwszą lokatą”. Oceny końcowe, jakie uzyskał: „bardzo dobrze”, „celująco”. Z dokumentów<sup>2</sup> wynika, że jako 17-latek opanował



Kazimierz Nałęcz-Rychłowski, Kraków, koniec XIX w.

języki: niemiecki, francuski, grekę i łacinę. Angielski, włoski, ukraiński i serbski opanował samodzielnie jako dorosły człowiek. Już jako uczeń z upodobaniem pisał i tłumaczył: *Jeszcze w gimnazjum będąc zajmowałem się poezją – chwile te były dla mnie niejako Sturm und Drang Periode, choć już wtedy za wypracowanie niemieckie, napisane wierszem dostałem celująco!* – tłumaczył w liście intencyjnym – jak to by się teraz ujęło – do Alberta Zippera, germanisty, tłumacza i poety<sup>3</sup>. – *Zajęcia szkolne nie pozwalały mi zajmować się poezją i przed*

<sup>1</sup> Stanisława z Rychłowskich Rychłowska (1872–1937) – została zasłużoną społeczniką, prezeską Stowarzyszenia św. Zyty, mecenaską środowiska służących, wydawcą „Przyjaciela Sług”. Została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Spoczywa na Rakowicach w grobowcu rodzinnym Rychłowskich.

<sup>2</sup> *Sprawozdanie Dyrekcji ck Gimnazjum św. Jacka w Krakowie za lata szkolne 1888–1895,*

Kraków 1888–95; świadectwa szkolne w posiadaniu rodziny.

<sup>3</sup> List do Alberta Zippera (brak daty), rkp. BUJ 8948, k. 241–242; pierwsze przekłady R. ukazały się w Feldmanowskiej „Krytyce”, zob. *Poeci mówią*, w: „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”, nr 72, 16.03.1933, s. 3.



maturą – wtedy ulubiony mój Heine był dla mnie najprzyjemniejszą rozrywką. Kiedy zaś przy maturze przełożyłem znowu zadany ustęp z Vergilego wierszem, co znowu zwróciło uwagę profesora i przewodniczącego komisji, wówczas chwyciłem się tej myśli, z którą już dawno się nosiłem – wydanie mych tłumaczeń. Szacowna rodzina wiedziała o tych pasjach, które miały swoje korzenie w ogromnej bibliotece domowej, ale była świadoma perspektyw życia z poezji. Nic dziwnego, że list do Zippera (z 1895, 1896 roku?) podpisał Kazimierz Rychłowski, student I roku... medycyny.

### MŁODY POLAK

O tym, że Kazimierz studiował medycynę, potomkowie dowiedzieli się sto lat później, zupełnie przypadkiem. Pewnie dlatego, że zdolny poeta zaliczył cały kurs medycyny z wyjątkiem ostatecznego egzaminu lekarskiego. Dlaczego? Nie wiadomo. Na pewno jednak pokutował za to, oczywiście ze względów ekonomicznych, do końca życia. Ponieważ założona w 1900 roku rodzina rozrastała się w tempie regularnym, pasjonat „poezji”, chcąc nie chcąc, musiał zmienić profil zawodowy. Stał się urzędnikiem państwowym i był nim, z przerwami, już do emerytury.

W 1905 roku zaczynał romanistykę na UJ. *Lektor języka francuskiego Paül Rongier specjalnie entuzjazmował się moimi przekładami. Dla mnie sprawdzał z Paryża wydawane przez „Mercure de France” najnowsze formy poezji* – napisze Rychłowski w autobiografii, spisanej na jednej kartce<sup>4</sup>. W 1909 r. potwierdzi w liście do Michała Pawlikowskiego: *Dział ten [przekłady z francuskiego – AS] uprawiam ze szczerym zamiłowaniem – i jestem stale au courant całego ruchu literackiego w tym kierunku*<sup>5</sup>. Nie ukończył ani romanistyki, ani germanistyki, ani polonistyki – a wszystkie zaczynał. Jego rówieśnik Staff zaczynał prawo, filozofię i romanistykę, z tym samym „poetyckim” efektem. Mało który z młodopolskich poetów doprowadził studia do szczęśliwego końca. Mieli inne priorytety. Kazimierz Rychłowski też korzystał z życia, tym bardziej że dostał

spadek po zamożnej ciotce. Razem z młodą żoną, Marią z Golachowskich (córka cka oficera z Krakowa), podążył szlakiem modnych podróży na Południe. Podobno Maria osobiście przegrała pewną sumę w kasynie w Monte Carlo.

Już do końca w ich domu się nie przelewało. Zmieniano często mieszkanka oraz wędrowano, w obie strony: Kraków – Bohumin – Podole – Lwów – Gorycja – Sambor – i Lwów z powrotem. Przybywało dzieci (z dziesięciorga przeżyło siedmioro), przechodziły wojny: światowa, z Ukraińcami i polsko-bolszewicka. Łatwiej byłoby przetrwać w tych czasach lekarzowi z prywatną praktyką aniżeli uzdolnionemu poecie. Ale małżonkowie nie bardzo żałowali swoich młodzieńczych wyborów.

### ŚPIĄCY NA JANOWSKIM

Lwowskie trzydziestolecie pracy minęło w 1939 roku. Zamiast premiery w Teatrze, inwazja sowiecka i zejście ze sceny, na długie dziesiątki lat. Odrzucił propozycję wstąpienia do organizacji literatów, którą oficjalnie formowali sowietzi. Jak większość twórców polskich, nie mógł już pisać i publikować. Od młodości chorował na serce, a teraz bardzo ciężko znosił okupację, co skróciło mu życie. Odszedł 10 stycznia 1941 w swoim mieszkaniu przy ul. Małachowskiego 2. Kościółek św. Anny przy ul. Akademickiej, gdzie odprawiona była msza



Rychłowski z synem na balkonie redakcji „Kurierza Lwowskiego”

<sup>4</sup> Rękopis w posiadaniu autorki tekstu.

<sup>5</sup> List do Michała Pawlikowskiego z 18.12.1909, rkp. BUJ 12336 III, k. 61–62.

## Śpiący w kotlinie

(przekł. B. Ostrowska, 1911)

Zakąt, gdzie śpiewna rzeka wśród bujnej zieleni  
Czepia szaleńczo w locie o traw dzikich kępy,  
Przelśnione dumnym słońcem gór, wodniste strzępy  
Srebra. Kotlina, która blaskami się pieni.

Młody żołnierz z rozwartą wargą i odkrytą  
Głową, wtuloną między modre, rośne ziele,  
Śpi, pod niebem mu trawa miękkie łoża ściele,  
Blady jest pod zielenią promieniami liłą.

Stopy w mieczykach kwiatnych wsparł. Śpi  
uśmiechnięty  
Śmiechem chorego dziecka do sennej ponęty...  
Zimno mu. Daj mu, ziemio, ciepłe sny łaskawie.

Woń twych kwiatów rozkoszą mu nozdrzy nie  
wzdyma:  
Śpi w słońcu i na piersi jedną rękę trzyma,  
Spokojny. W prawym boku ma dwie jamki krwawe.

## Le dormeur du val

(przekł. K. Nałęcz-Rychłowski)

W cichem ustroniu – wśród żywej zieleni  
Skąpanej całej w słonecznej kaskadzie,  
Kędy się rzeka w swem łożysku pieni  
I srebrne strzępy piany wokół kładzie, –

Śpi młody żołnierz – usta rozchylone –  
Z odkrytą głową wśród storczyków leży –  
A za węzłowie służy mu kwiat świeży  
Jaskrów – i lilii – i trzciny zielone.

Leży – lecz z smutnym uśmiechem na twarzy –  
Spokojny – cichy – widać o czemś marzy –  
Niech go przyroda w tym śnie strzeże sama!

Leży w tem słońcu, wpośród wonnej trawy  
Zimny – bez ruchu. – A na piersi prawej  
Widnieje straszna – krwawa – czarna jama.

żałobna, sowieci zmienili potem w skład mebli, a grób zniszczyli – spoczął w nim niejaki „Siergiej Iwanowicz”. Takich grobów zasłużonych Polaków są na Kresach tysiące. Za to w obecnych granicach Polski, na krakowskich Rakowicach, znajduje się skromna kwatery żony Marii z Golachowskich Rychłowskiej (zm. 1968). Na tej samej lastrykowej płycie wyryto napis *Pro memoria Kazimierz Nałęcz-Rychłowski, literat.*

### „STARAM SIĘ BYĆ WSPÓŁTWÓRCĄ”

Dokumentów pracy translatorskiej Rychłowskiego zachowało się niewiele i są to wyłącznie listy, dostępne w dziale rękopisów Biblioteki UJ. Można z nich się dowiedzieć, gdzie ubiegał się o druk tekstów, z kim stałe współpracował i jakie miał plany wydawnicze. Pisał do Alfreda Zippera: *Serdecznie wdzięczny jestem panu Zuckerhandlowi za jego serdeczne i szczerze zajęcie się mną, te słowa zachęty i pochwały z jego strony dały mi ochoty do dalszej pracy*<sup>6</sup>. Próba opublikowania w złoczowskiej oficynie Wilhelma Zuckerhandla nie powiodła się, a największe

marzenie spełniło się dopiero w 1907 r. Był nim wydany własnym kosztem u Gebethnera i Wolffa tom *Współcześni poeci francuscy. Wybór poezji*. To jedyny zwarty zbiór przekładów Kazimierza Rychłowskiego. Oto nazwiska, które pojawiają się w antologii: Charles Leconte de Lisle, Sully Prudhomme, François Coppée, José-María de Herédia, Paul Verlaine, Jean Rimbaud, Jean Moréas, Albert Samain, Henri de Régnier, Francis Jammes oraz belgijskich: Émile Verhaeren, Georges Rodenbach, Maurice Maeterlinck<sup>7</sup>. Jest wśród tekstów znany wiersz Rimbauda, drukowany w podręcznikach jako *Śpiący w kotlinie*. Ciekawie jest zestawić dwa różne przekłady, najbardziej znany – Bronisławy Ostrowskiej – i zapomniany Kazimierza Rychłowskiego (zamieszczamy powyżej).

Kazimierz Rychłowski, co charakterystyczne, nie tłumaczy tytułów wierszy, cykli poetyckich ani tomów. Posługuje się prostym, stonowanym językiem. Unika wy-

<sup>7</sup> Ciekawe, że nie ma tu na przykład wierszy Ch. Baudelaire’a, którego wiersze Rychłowski tłumaczył, teksty zamieszczając w prasie codziennej.

<sup>6</sup> Op. cit.

olbrzymień i ostrych kontrastów. Oszczędnie stosuje wykrzyknienia. Rytm wiersza kształtuje chętnie za pomocą myślników. Tak oceniono jego warsztat translatorski w jubileuszowej audycji radiowej w kwietniu 1939: *Rychłowski operuje bogatą skalą istnych słów-perał, ma do dyspozycji obfity materiał językowy, tym konieczniejszy, że wyszukuje same trudne tematy, niełatwe do oddania. [...] To już nie przekłady, ale artystyczne cacka, literackie piściółka. Pomijając wiedzę poligłoty i mrówczą nieomal pracowitość w Rychłowskim odezwał się artysta nieprzeciętnej miary, mistrz wysokiej klasy, który umiał skarby obcej literatury przyswoić literaturze polskiej w takim stopniu, jakby to były utwory pisane i pomyślane w ojczystym języku*<sup>8</sup>. Jan Zahradnik, który w 1922 był uczestnikiem „Wieczoru liryki francuskiej” w kasynie miejskim z prelekcją Rychłowskiego, połączoną z recytacją przekładów,



Kazimierz Nałęcz-Rychłowski z synem Kazimierzem, lata 20

dostrzegł *pierwszorządne zalety pióra Kazimierza Rychłowskiego, a przede wszystkim zadziwiająco rozległą skalę zainteresowań artystycznych i bogactwo artystycznego wyrazu u tego świetnego tłumacza i subtelnego poety. [...] Utwory w spolszczeniu lub nawet wiernym przekładzie Rychłowskiego pozostają takimi samymi arcydziełami, jakimi są w oryginale*<sup>9</sup>. Sam poeta podsumował krótko: *W przekładach mych staram się zawsze być współtwórcą, wnikać i zrozumieć intencje autora, stając się samemu po prostu nieosobowym, myśleć jego kategoriami, a przy tym nie uронić niczego z rytmiki wiersza*<sup>10</sup>.

Za swoją pracę lwowski literat doczekał się skromnego wyróżnienia. Siedem przekładów włączył Leopold Staff do antologii pod swoją redakcją pt. *Liryki francuscy. Wybór poezji* (Warszawa 1924). Są to: Leconte de Isle *Weranda, Woń niezniszczalna, Sen kondora i Preria*; François Coppée *Etap i Ritournelle* oraz Emile Verhaerena *Powrót mnichów*<sup>11</sup>. Fragmenty jego tłumaczeń zamieścił w swojej *Historii literatury francuskiej* Marceli Szarota<sup>12</sup>.

## DOTACJA Z MINISTERSTWA

Intensywnie publikował w „Lamusie”, „Lwowskiej Gazecie Porannej i Wieczornej”, „Naszym Kraju”. Listy świadczą, że intensywnie myślał o kolejnym tomie. W 1919 roku otrzymał z Ministerstwa Sztuki i Kultury subwencję na wydanie tłumaczeń, z *uwagi na duże zalety dołączonych do podania przekładów*<sup>13</sup>. Kwota 1000 marek polskich, przyznana „w okresie bujnej inflacji”, jak

<sup>8</sup> J. Bieniasz, *Kazimierz Rychłowski. Trzydziestolecie pracy literackiej*, odczyt w Polskim Radiu Lwów, 27.04.1939, maszynopis w posiadaniu autorki; Bieniasz podkreśla: *Wszak nie kto inny, tylko pierwszy Rychłowski „odkrył” w Polsce już w r. 1899 proroka symbolizmu Maurycego Maeterlincka, belgijskiego realistycznego piewę przyrody i pracy ludzkiej Emila Verhaerena, twórcę wspaniałych sonetów Heredię i wielu, wielu innych*.

<sup>9</sup> J. Zahradnik, *Z sali odczytowej. Wieczór liryki francuskiej*, w: „Słowo Polskie” nr 272, 25.XI.1922.

<sup>10</sup> *Poeci mówią*, w: „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”, nr 72, 16.03.1933, s. 3.

<sup>11</sup> Tytuły podane zgodnie z ich brzmieniem w tejże antologii.

<sup>12</sup> R. Skręt, *Kazimierz Lucjan Nałęcz-Rychłowski*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. XXXIII, Warszawa–Kraków 1991–1992.

<sup>13</sup> Ministerstwo Sztuki i Kultury, 14.11.1919; Maszynopis w posiadaniu autorki.



Grób Marii Rychłowskiej i Jadwigi z Rychłowskich Ligęzy na krakowskim cmentarzu Rakowickim, luty 2011. Wcześniej na tablicy znajdował się napis: „Pro memoria Kazimierz Nałęcz-Rychłowski, literat”, skuty prawdopodobnie po to, by zmieścić tam epitafium córki Jadwigi

podsumował gorzko Rychłowski, nie wystarczyłaby nawet na okładkę projektowanej książki<sup>14</sup>. Było to jednak ważne dla niego, bo

<sup>14</sup> *Poeci mówią...*



Gróbowiec przodków Kazimierza Rychłowskiego na cmentarzu Rakowickim w Krakowie

pierwsze i jedyne wyróżnienie otrzymane z rąk ówczesnego ministra Przesmyckiego.

– Postuchaj, Nuśka, co właśnie przetłumaczyłem – wychodził z gabinetu i czytał wiersze żonie. *Posyłam Ci moje nowe tłumaczenie. Ciekaw jestem, co mi powiesz o tym?*<sup>15</sup> – pytał w liście do córki. Następnie posyłał tekst do redakcji. Stawiał sobie wysokie wymagania. Nawet u Heinego rozróżniał

*rzeczy śliczne i bardzo słabe*, więc mierny poziom poezji tym bardziej wytykał kolegom. Henryk Zbierzchowski, laureat nagrody literackiej miasta Lwowa, do historii przeszedł jako specjalista od wierszy na każdą okazję (i adekwatnych rymów). Rychłowski – i nie tylko on – wytykał mu to bez ogródek swoim ostrym językiem. Sprzeczki obu panów zakończyły się dedykacją w tomie *Ogrody życia* z 12 lutego 1938 r.: *Zgadzam się. Bądźcie dobrzy. Henryk Zbierzchowski.*

#### NA PAPIERZE I NA ANTENIE

W ciągu 30 lat pracy literackiej i 20 – dziennikarskiej Kazimierz Nałęcz-Rychłowski wydał ponad trzydzieści tomów powieści w przekładzie własnym. Były wśród nich teksty klasyczne, a także ówczesna literatura popularna. W 1939 r., dwa lata przed śmiercią, pracował nad przekładem powieści lotnika Kennetha Malcolma Murraya pt. *Skrzydła nad Polską* (wspomnienia z lat 1919–1921) oraz nad spolszczeniem pięciu włoskich dzieł dla młodzieży, treści popularnonaukowej.

<sup>15</sup> Z przekazu rodzinnego.

Współpracował z kilkunastoma tytułami prasowymi. Najdłużej, bo przez siedem lat (do końca roku 1935), pracował w redakcji „Kuriera Lwowskiego” – był m.in. redaktorem jego tygodniowego dodatku „Kurier Literacko-Naukowy”. W gazetach codziennych opublikował dziesiątki recenzji teatralnych – to bardzo ważna część jego pisania. Później związał się z Księgarnią Towarzystwa Szkoły Ludowej we Lwowie, która prowadziła również działalność wydawniczą. Był członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Miał kilka odczytów w Lwowskim Radiu, tamże poprowadził audycję o poezji francuskiej oraz o poezji jugosłowiańskiej, podczas której odegrał na fortepianie dwa utwory jugosłowiańskich kompozytorów, Slavenskiego i Grgoševića.

## KRADZIEŻE PRAW AUTORSKICH

Po II wojnie rozproszona ekspatriacją rodzina nie była w stanie zadbać o spadek literacki, oczywiście nie sprzyjały rządy komunistyczne. Okazuje się, że zaledwie kilka lat po śmierci Rychłowskiego z tłumaczeń swobodnie korzystali reżyserzy. Na przykład w 1945 r. komedię René Fauchois *Prenez grande a la peinture* (Ostrożnie, świeżo malowane) wystawił Teatr Polski w Bydgoszczy, w 1946 r. Wojewódzki Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze, a w 1972 r. Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu. U początku XXI wieku najmłodsza córka tłumacza, Irena, natknęła się na wydawnictwo Krajowej Agencji Wydawniczej pt. *Złote sidła* Curwooda (1990), opisane jako tłumaczenie Kazimierza... Rychłowskiego. Nie było mowy o przypadkowym błędzie drukarskim, bo w 1994 r. *Złote sidła* pod nazwiskiem „Rychłowskiego” wydała oficyna Morex. Ten osobnik nigdy nie istniał, ale spadkobiercom Rychłowskiego (który wydał *Złote sidła* w 1927 r.) jeszcze należały się tantiemy. Wiadomo także, iż w 1992 r. wydawnictwo Alfa wydało *Madonnę śpiących* Maurice’a Dekobry, pod właściwym nazwiskiem tłumacza, oczywiście również nie płacąc tantiem. Symboliczną zagadką rodzinną pozostały losy słynnych *Zbójców*. Czy i kto przywłaszczył sobie prawa autorskie do tłumaczenia? Pytanie nie daje spokoju do dziś.



Autorka przed kamienicą rodzinną Rychłowskich, przy ul. Wielkopole w Krakowie, luty 2011

## O MIEJSCE WŚRÓD RÓWNYCH

Porządkowaniem spuścizny po Kazimierzu Nałęcz-Rychłowskim i przywracaniem jego pamięci zajmuje się prawnuczka, autorka tego artykułu. Najważniejsze udało jej się osiągnąć – krok po kroku, często z życzliwą pomocą miłośników Kresów. Napisała kilka artykułów na jego temat. Doprowadziła do zaktualizowania biogramu poety w *Polskim Słowniku Biograficznym* i skorygowała nazwisko tłumacza *Złotyeh sideł* w katalogu Biblioteki Narodowej. Dzięki Annie Fastnacht-Stupnickiej, dziennikarce i autorce przejmującej książki *Zostali we Lwowie*<sup>16</sup>, dowiedziała się o powstającej książce *Cmentarz Janowski we Lwowie*<sup>17</sup>, i w ostatniej chwili udało się włączyć do tej monografii biogram Rychłowskiego.

W 2015 r. wznowiono tłumaczenie autobiografii twórcy skautingu, lorda Roberta

<sup>16</sup> A. Fastnacht-Stupnicka, *Zostali we Lwowie*, Wrocław 2010.

<sup>17</sup> B. Patlewicz, R. Tomczyk, *Cmentarz Janowski we Lwowie*, Szczecin 2016.

Baden-Powella pt. *Moje przygody i przeżycia* (reprint wydania z 1937 r., Oficyna Impuls, Kraków 2015). Tu i tam, w archiwach państwowych i prywatnych, odnajdują się listy, rękopisy i dokumenty – skrawki życia lwowskiego literata. Tu i tam wyszperać można wzmianki, relacje i recenzje, z których wyłania się ciekawa sylwetka człowieka: *subtelny i wytrawny tłumacz Verlaine'a, Baudelaire'a, Verhaerena, Rostanda i Schillera [...]*



Po lewej Kazimierz Rychłowski junior (1919–1998), wrocławski dziennikarz, pseud. Kajetan, po prawej Kazimierz Natęczyński Rychłowski senior

*zawsze bardzo cichy i skromny*<sup>18</sup>, Rychłowski wszedł do literackiego panteonu nie głośno, jak to dziś modne, nie z miną pewnego siebie pyszałka, ale cicho i skromnie, jak przystało na człowieka, który wnosi cały rańtuch bogactw do ogólnego skarbcza<sup>19</sup>. W 1933 roku poeta napisał w odpowiedzi na ankietę prasową: *Dziś – marzeniem moim byłoby wydać przynajmniej jeden tom z przekładów Verlaine'a... Ale kto dziś czyta Verlaine'a – i kto by zaryzykował wydanie jego poezji?...*<sup>20</sup>. Oby z czasem jego teksty znów znalazły się w podręcznikach akademickich lub w nowych antologiach.

### Bibliografia przekładów<sup>21</sup>

#### Wybrane przekłady z języka niemieckiego

- Renè Fuelop Miller, *Lenin i Gandhi*, Lwów 1929
- Casimir Edschmid, *Lord Byron*, Lwów 1930
- F. Schiller, *Maria Stuart*, Lwów 1929 (?)

<sup>18</sup> H. Łubieński, *We lwowskim świątku literackim*, w: „Kurier Poznański”, nr 183, 19.04.1935.

<sup>19</sup> J. Bieniasz, *Kazimierz Rychłowski... Zdaniami Bieniasza, z przekładów liryków francuskich można by stworzyć co najmniej pięć okazałych tomów. Sam Rychłowski trzeźwo stwierdził, że czekają one na wydawcę i „koniunkturę” (Poezi mówią...)*.

<sup>20</sup> *Poezi mówią...*

<sup>21</sup> Została sporządzona przez Rychłowskiego w ramach cytowanej autobiografii; w tej chwili trudno jest mi sporządzić kompletną bibliografię, wymagałoby to ogromnego nakładu czasu i kosztów.

#### Wybrane przekłady z języka francuskiego

- Panais Istrati, *Żagiew i zgłiszczca. Po szesnastu miesiącach pobytu w ZSRR*, Lwów 1931
- Jacques de Lacretelle, *Silbermann*, Lwów 1925
- Camil Maüclair, *Miłość zmysłowa*, Lwów 1928
- Pierre Vachet, *Niepokój płciowy*, Warszawa 1928
- Albert Londres, *Droga do Buenos Aires?*
- Maurice Dekobra, *Książę Seliman*, Warszawa 1927
- Maurice Dekobra, *Dama w wagonie sypialnym*, Warszawa 1927
- Maurice Dekobra, *Purpurowa gondola*, Warszawa 1927
- Edmond Rostand, *Daleka księżniczka*, Lwów 1922
- *Współcześni poeci francuscy. Wybór poezji*, przekład K. Rychłowskiego, Kraków 1907

#### Wybrane przekłady z języka angielskiego

- Robert Baden-Powell, *Moje przygody i przeżycia*, Lwów 1937
- Robert Baden-Powell, *Moje przygody w Afryce?*
- James O. Curwood, *Złote sidła*, Lwów 1927

*Dziękuję mojemu Promotorowi, Panu Profesorowi Lesławowi Tatarowskiemu, za życzliwe uwagi i porady dotyczące pisania tego artykułu.*

Aleksandra Solarewicz: ur. 1977, wrocławianka, polonistka – dr n. humanistycznych, publicystka. Laureatka nagrody reporterskiej z dziedziny praw człowieka (Fundacja Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość, Berlin 2008) i wyróżniona przez Kancelarię Prezydenta za reportaż historyczny (2010).

Jan i Piotr Świtalscy

# Sześciu obrońców ojczyzny

Napis *Dała Ojczyźnie Sześciu Obrońców* wykuty przy nazwisku Heleny Świtalskiej na nagrobku Świtalskich i Chądzyńskich na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie zobowiązuje do krótkiego szkicu o Matce i Jej synach.

Urodziła się jako córka doktora Jana Chądzyńskiego i Wandy z d. Raczyńskiej 22 października 1863 r. w szpitalu polowym prowadzonym przez rodziców na froncie walk powstania styczniowego. Dzień jej urodzin jest dniem śmierci matki, ranionej wcześniej kozacką piką. Wyślzała za mąż za radcę Józefa Świtalskiego i urodziła sześciu synów.

Helena Świtalska zmarła we Lwowie w 1937 roku. Dwa lata później rozpoczęła się II wojna światowa, tragiczny wieloletni okres walk o niepodległość Polski, w którym wszyscy jej synowie, już wcześniej określani obrońcami Ojczyzny, zapisałi chlubne karty.

**Stanisław Jan Ferdynand Świtalski (1890–1939)**, absolwent prawa Uniwersytetu Lwowskiego (1913). Od 1914 do 1917 w Legionach Polskich, uczestnik kampanii kieleckiej Piłsudskiego. Brał udział w walkach na froncie wołyńskim, a po kryzysie przysięgowym w 1917 roku i inter-



nowaniu w Beniaminowie działał aktywnie w POW. Podczas obrony Lwowa dowodził kompanią sztabową Brygady Lwów i został ranny. W czasie wojny polsko-sowieckiej dowodził baonem 6 pp Legionów. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej w 1923 roku, awansowany do stopnia pułkownika dyplomowanego, pełnił służbę w Warszawie, Siedlcach, a w kwietniu 1939 roku został dowódcą 16 dywizji piechoty w Grudziądzu.

II WOJNA ŚWIATOWA. 1 września 1939 r. od pierwszych godzin kampanii wrześniowej 16 DP pod jego dowództwem odiera całą dzień silne ataki niemieckiego XXI Korpusu, między innymi udaremniając już rozpoczęte przez Niemców plany sforsowania Osy, co pozwoliło gen. M Bołtucowi, d-cy GO Wschód, przegrupować siły, uzupełniając je o dotychczas nieatakowaną 4 DP, ale nie wprowadzając jej niestety w tym dniu do walki.



Na zdjęciach: po lewej – Józef i Helena Świtalscy; po prawej – Adam Świtalski, wnuk Marii Michała Świtalskiego, przy grobowcu Świtalskich i Chądzyńskich na cmentarzu Łyczakowskim (2010)





zwanej „grupą Świtalskiego”, której zostaje dowódcą.

Jednostka ta od dnia 8 września bierze udział w bitwie nad Bzurą w rejonie Sochaczewa. W dniu 11 września „grupa Świtalskiego” wyrzuca z Sochaczewa Niemców, ratując w ten sposób od rozstrzelania jego mieszkańców, już zebranych w tym celu na rynku miasta.

Grupa bierze udział w kilkudniowych walkach o utrzymanie Sochaczewa, między innymi wysadza most o dużym znaczeniu strategicznym, utrudniając w ten sposób szybkie poruszanie się wojsk niemieckich w kierunku Warszawy.

Zgrupowanie Świtalskiego otrzymuje rozkaz obrony odcinka Bzury – od Sochaczewa po Brochów na północy, bierze udział w licznych starciach z nieprzyjacielem, nie ustępując z zajmowanych stanowisk.

Brak koordynacji natarcia z siłami Armii Warszawa i Armii Modlin, brak jednolitego dowództwa operacyjnego (i koordynacji pomiędzy gen. Kutrzebą i Bortnowskim), znaczne wyczerpanie żołnierzy (prowadzących czterodniowe walki bez odpoczynku) i coraz większe straty w obliczu kontrataku przez Luftwaffe i jednostki pancerne Wehrmachtu spowodowały, iż Naczelny Wódz gen. Rydz-Śmigły i gen. Tadeusz Kutrzeba podjęli decyzję o wstrzymaniu ofensywy polskiej i wycofania wojsk w kierunku Warszawy.

17 września armie Poznań i Pomorze zrezygnowały z natarcia w okolicach Sochaczewa i Łowicza i rozpoczęły siłami jednostek kawaleryjskich przebiecie do Warszawy poprzez Puszcę Kampinoską (Łomianki i Palmiry). Większość jednostek Armii Poznań i Pomorze znalazło się w okrążeniu na zachód od Bzury i zostało zmuszonych do poddania się.

19 września podczas przebijania się resztek „grupy Świtalskiego” przez Puszcę Kampinoską płk. Stanisław Świtalski ginie w walce z Niemcami w okolicach gajówki Krzywa Góra.

*Odnaczony m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych czterokrotnie, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Pochowany na Wojskowym Cmentarzu na Powązkach w Warszawie. 10 B, rząd VI m-ce 9.*

**Klemens Świtalski (1891–1972)**, absolwent prawa Uniwersytetu Lwowskiego.

W 1914 roku wstępuje do Legionów, a w 1915 r. kończy szkołę podchorążych. W 1917 roku, jako oficer 6 pp. Legionów, zostaje aresztowany za aktywność w organizacji buntu pułku przeciw przysiędze narzuconej przez dowództwo austriackie.

11 listopada 1918 roku wstępuje do Wojska Polskiego i, po krótkim okresie urlopowania do pracy w sądownictwie, bierze udział w wojnie polsko-sowieckiej. W 1925 roku, po okresie urlopowania do prac przygotowujących plebiscyt na Mazurach, zostaje przeniesiony do rezerwy w stopniu kapitana. Kampanię wrześniową kończy jako jeńiec w Stalagu III w Luckenwaldzie.

Po 1945 roku prowadził praktykę adwokacką. Umarł w Warszawie w 1972 roku.

Odnaczony m.in. trzykrotnie Krzyżem Walecznych.



**Władysław Świtalski (1893–1918)**, ochotnik – żołnierz armii Hallera, poległ 16 lipca 1918 r. w trakcie drugiej ofensywy nad Marną i został pochowany na cmentarzu wojennym w miejscowości Auberive (departament Marne).

4 czerwca 1917 r. prezydent Republiki Francuskiej Raymond Poincaré, w wyniku nowej sytuacji polityczno-wojskowej, wydał dekret powołujący Armię Polską we Francji. Pierwsze polskie pododdziały zaczęły się formować na początku lipca 1917 r. w obozie wojskowym w miejscowości Sille le Guillaume.

Można domniemywać, że Władysław Świtalski przybywa do obozu wraz z pierwszymi większymi grupami żołnierzy w na przełomie lipca i sierpnia 1917 r. Utworzone zostają cztery kompanie strzelców, które tworzą batalion pod dowództwem kpt. Józefa Kozłowskiego.

Początkowo słaba rekrutacja ograniczała możliwości formowania większego oddziału i dopiero pod koniec grudnia 1917 r. istnieją warunki do utworzenia pułku piechoty, z którego sformowany został I Pułk

Strzelców Polskich. Wreszcie latem 1918 r. pułk zostaje skierowany na front. Niemcy – w ramach operacji pod kryptonimem Marneschutz-Reims – postanowili uderzyć w Szampanii, by oskrzydlającym uderzeniem trzech armii (1. gen. Magnusa Eberhardta, 3. gen. Karla von Einema i 7. gen. Maksa von Boehna) opanować ważny węzeł kolejowy w Reims oraz utworzyć silny przyczółek na południowym brzegu Marny i bezpośrednio zagrozić stolicy Francji.

I Pułk Strzelców Polskich (PSP) w ramach działania operacyjnego 4 armii francuskiej skierowany zostaje na stosunkowo spokojny odcinek frontu w okolicach miejscowości Suippes, gdzie już z 18 na 19 czerwca 1918 r. bierze udział w walkach.

Podczas pobytu na froncie w rejonie Reims I PSP otrzymał 18 czerwca na polanie koło m. Pont d'Issus w pobliżu m. Villeres-Marmery swój pierwszy sztandar ufundowany przez mieszkańców Paryża. Ceremonii wręczenia sztandaru towarzyszył przegląd pułku, msza polowa ze święceniem sztandaru oraz uroczysta przysięga wojskowa;

*Przysięgam przed Panem Bogiem Wszechmogącym w Trójcy Świętej Jedynym na wierność Ojczyźnie mojej, Polsce jednej i niepodzielnej; przysięgam, iż gotów jestem życie oddać za świętą sprawę Jej zjednoczenia i wyzwolenia, bronić sztandaru mego do ostatniej kropli krwi, dochować karności i posłuszeństwa mojej zwierzchności wojskowej, a w całym postępowaniu moim strzec honoru żołnierza polskiego. Tak mi, Panie Boże, dopomóż!*

14 lipca 1918 roku I PSP zostaje przegrupowany, w ramach francuskiej 170 dywizji piechoty, w rejon Saint Hilaire-le-Grand (około 10 km na północny zachód od Suippes, przy szosie łączącej owe miasteczko z Reims), gdzie Władysław Świtalski z przydziałem do I batalionu, 116 pp, skierowany zostaje na pododcinek Auberive.

W trakcie obsadzania okopów na polskie bataliony spadł huraganowy ogień niemieckiej artylerii, który spowodował poważne zamieszanie w ich szeregach. Na szczęście nie spowodował większych strat w ludziach i jeszcze 14 lipca – po uporządkowaniu szeregów – pododdziały I PSP zajęły wyznaczone stanowiska, wzmacniając znajdujące się tam siły francuskie z 14 i 170 dywizji

piechoty, walczące w składzie XXI Korpusu gen. Naulina.

W ciągu następnych kilku dni polscy żołnierze aktywnie uczestniczyli w odpieraniu kolejnych ataków piechoty niemieckiej oraz podejmowali liczne wypadki na stanowiska wroga celem zdobycia jeńców. W trakcie walk pułk bierze udział w zdobyciu wzgórza Centre Chiton, strzelcy III batalionu wdzierają się na odległość 1200 m w głąb stanowisk niemieckich, żołnierze II batalionu powstrzymują natarcie nieprzyjaciela pomimo użycia przez niego gazów bojowych (arsenu).

Sukcesy te okupiono jednak poważnymi stratami, gdyż pułk stracił w tych dniach 34 poległych żołnierzy oraz 312 rannych. W trakcie tych działań w dniu 16 lipca 1918 roku ginie śmiercią żołnierza także Władysław Świtalski.

Pochowany zostaje na cmentarzu wojennym CIMITIÈRE MILITAIRE POLONAIS D'AUBERIVE, pod nazwiskiem: SWITALSKI Władisław, jednostka: Armée Polonaise, grób numer 234.

Przebywając na froncie żołnierze I PSP żyli w trudnych warunkach, które tak wspominał chor. W. Trawiński:

*Dzień upalny – bez wody do picia. Wszystkie pompy okopowe zniszczone, a w potoku przed nami (dostępnym tylko w nocy) woda zaprawiona silnie gazem... czuć ją gazem i piecze w usta. Nasi strzelcy nawiązali szybko kontakt z batalionem amerykańskim na sąsiedniej pozycji na lewo. Dostali dużo papierosów i czekolady, ale nic do zwilżenia przysychającego w ustach języka. [...] Przez szereg dni normalna dostawa żywności nie istniała. W 1 kompanii jeden ze strzelców wykrył w okopach opuszczoną podziemną składnicę, a w niej spore zapasy sardynek i puszek z mięsnymi konserwami. Radość... jest co jeść. Ale do tych – w innej sytuacji smakołyków – nie było ani kromki chleba czy jakichś sucharów. Nasza prowiantura rozbita – nie daje znaku życia o sobie. W ogóle aprowizacja zdezorganizowana ciężkimi stratami w taborach. Mamy więc tylko te słone sardynki i konserwy bez chleba i wody na lipcowym upale.*

Inny uczestnik walk opisuje użycie przez Niemców gazów bojowych – iperytu, zwanego gazem musztardowym. Był on cięższy od powietrza, toteż zalegał dno okopów, stając się tym samym śmiertelnym zagrożeniem

dla żołnierzy. Niestety pomimo szybkiego założenia masek przeciwgazowych ofiarami gazu stało się prawie 100 żołnierzy, głównie z 3 kompanii strzeleckiej, których następnego dnia odesłano na tyły celem leczenia płuc i oczu. Skutki użycia iperytu – z frontowych wspomnień:

*Ów atak gazowy zamienił w mordęgę pobyt w okopach przez kilka dni, szczególnie podczas dźwigania ciężkich skrzynek z amunicją. Schrony były pełne gazu. W rowach gaz po kolana, gdzieś po pas. W nocy i za dnia na upale trzeba było chodzić stale w masce, gdyż słońce rozgrzewało płyn gazowy i zatruyało powietrze. Bez maski można było odetchnąć swobodniej tylko powyżej okopów osłoniętych od strony nieprzyjacielskiej i w ten sposób przespać się i pożywić*

uzgodnienia wspólnych działań. Spotkanie zakończyło się przymusowym wylotem do Moskwy, gdzie znalazł się w więzieniu „Na Butyrkach”. Do roku 1947 przebywał w obozie w Riazaniu. Zmarł w Warszawie i został pochowany na cmentarzu na Powązkach. kwatery O, m-ce 17.

Odnznaczony m.in. orderem Virtuti Militari.

**Maria Michał Świtalski (1900–1958)**, jako uczeń gimnazjum i członek Drużyn Strzeleckich od jesieni 1918 r. w ramach 5 pp Legionów walczył w Obronie Lwowa. Odnznaczony odznaką honorową „Orleńca – obrońcy Kresów Wschodnich”.



W latach 1919–1920 walczył na froncie ukraińskim, potem litewsko-białoruskim. Od maja 1920 r. z przydziałem do 6 pp Legionów „na Prucie” bierze udział w walkach osłonowych, ranny, przebywa w szpitalu. W grudniu 1920 r. powraca do 6 pp Legionów na odcinek w Kraszynie nad rzeką Urzą. Walczył z bolszewikami m.in. pod Bobrujskiem i Mińskiem Litewskim.

Od stycznia do sierpnia 1921 r. w Szkole Podchorążych Piechoty w Warszawie. Promowany na stopień ppor. sł. st. piechoty 1 VIII 1921.

Po ukończeniu szkoły powraca do 6 pp w Lesznie na stanowisko d-y plutonu.

W grudniu 1921 zweryfikowany przez MSWoj. w stopniu ppor. sł. st. piechoty ze starszeństwem 1 czerwca 1919.

W 1922 skierowany na zorganizowany przez DOK VI Lwów (Dowództwo Okręgu Korpusu) kurs dokształcający dla młodszych oficerów, który ukończył w 1923.

W tym samym roku na własną prośbę zostaje przeniesiony do rezerwy.

Ukończył we Lwowie kurs Wyższej Szkoły Handlowej i do początku 1925 pracował we Lwowie jako handlowiec.

W II 1925 powraca do służby stałej w WP z przydziałem do 19 pp we Lwowie. Awansowany do stopnia por. sł. st. ze starszeństwem 1 II 1925. Pełni w 19 pp różne funkcje m.in. d-ca plutonu, kompanii. *Odnznaczony Odznaką Honorową 19 pp OL.*



**Adam Świtalski (1894–1952)**, od 1914 roku uczestnik walk o niepodległość w szeregach 1 pp Legionów, w Obronie Lwowa i kampanii 1920 roku. Pułkownik dyplomowany, absolwent Wyższej Szkoły Wojennej. Oficer sztabu Dowództwa Okręgu we Lwowie, później szef sztabu 1 dywizji piechoty Legionów w Wilnie.

W kampanii wrześniowej dowódca 25 pułku piechoty w 7 dywizji piechoty.

W konspiracji od 1939 roku. Pełnił najwyższe funkcje w dowództwie Służby Zwycięstwu Polski, następnie w Komen-dzie Głównej Armii Krajowej, m.in. jako Szef Oddziału IV (kwaterymistrzowskiego)<sup>1</sup>, pseudonim Dąbrowa, awansowany do stopnia generała AK. Od 1944 roku był dowódcą 3 dywizji piechoty AK w Okręgu Lubelskim. W lipcu 1944 roku podczas starć z wojskami niemieckimi podjął Akcję Burza, a następnie przyjął zaproszenie do rozmów z dowództwem oddziałów Armii Czerwonej celem

<sup>1</sup> również jako szef Kedywu; patrz Wielka Encyklopedia. Żona – Zofia z d. Laskowska, primo voto Rettinger, prowadziła sekretariat Oddziału IV KG AK, później była asystentem płk. Iranka-Osmęckiego i zakończyła służbę w stopniu kapitana wraz z upadkiem powstania warszawskiego.

Do stopnia kpt. sł. st. awansowano go 1 stycznia 1933. Jako doświadczony i wyróżniający się w służbie oficer zostaje rozkazem MSWoJ z 2 maja 1935 przeniesiony do korpusu Ochrony Pogranicza z przydziałem do baonu KOP Borszczów na stanowisko d-cy kompanii granicznej. Objął dowództwo strażnicy w Boryszkowcach (miejsowość przy ujściu rzeki Zbrucz do Dniestru).

5 września 1936 przeniesiony z baonu KOP Borszczów do baonu KOP Sejny na stanowisko d-cy 1 kompanii granicznej Rutka Tartak stacjonującej w m. Wiżajny pow. Suwałki.

Od 4 sierpnia do 19 września 1938 przebywał w Centrum Wyszczolenia Piechoty w Warszawie na kursie unifikacyjno-doskonalającym dla kapitanów, po którego ukończeniu powraca do macierzystej jednostki.

Po mobilizacji w 1939 pozostaje na swym stanowisku. Bierze udział w kampanii wrześniowej 1939. Dowodzi 1 kompanią graniczną w składzie baonu KOP Sejny, który wszedł w skład zgrupowania ppłk M. Osmoli i podlegającym Samodzielnej Grupie Operacyjnej Narew osłaniającej pogranicze z Prusami Wschodnimi i Litwą na północ od rzeki Niemen. 6 września 1939 baon KOP Sejny' zostaje przesunięty w rejon Suwałk.

W dniach 17–18 IX 1939 dowodził kompanią w walce z patrolami motocyklistów niemieckich. Od 19 do 23 IX 1939 walczy z sowietami w rejonie Kanału Augustowskiego i Sopoćkin. Po walkach baon wycofał się do Puszczy Augustowskiej, a 24 IX 1939 wobec przeważających sił wroga przekracza granicę z Litwą. Internowany przez Litwinów i osadzony w obozie jenieckim w Olicie, skąd w połowie XI 1939 udało mu się uciec.

24 XI 1939 powraca na Suwalszczyznę. Ukrywa się u znajomych. Na początku 1940 podejmuje działalność konspiracyjną. Tworzy zręby organizacji niepodległościowej o nazwie Legion Nadniemeński, którego kadra wywodziła się głównie z byłych wojskowych.

Po aresztowaniu przez Niemców i kolejnej ucieczce wstępuje do ZWZ. Pełniąc funkcję komendanta Obwodu ZWZ Suwałki kieruje odbudowaniem siatki konspiracyjnej na podległym terenie, następnie obejmuje szereg stanowisk dowódczych w stopniu podpułkownika w komendzie okręgu Armii Krajowej.

Za działalność konspiracyjną pod pseudonimami Profesor, Juhas, Sulima, Szczuka, Marian Kaszycki, Marian Kowalski awansowany do stopnia podpułkownika i odznaczony kolejno Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Medalem Niepodległości i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Po wkroczeniu Armii Radzieckiej pozostał w konspiracji i do stycznia 1947 pełnił funkcję prezesa Okręgu Białostok organizacji Wolność i Niezawisłość.

31 grudnia 1946 roku został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa, następnie po amnestii, która została uchwalona po prowadzonych z nim negocjacjach w kwestii złożenia broni przez oddziały WIN, zwolniony w kwietniu 1947 r.

23 października 1950 roku został ponownie aresztowany przez WUBP Warszawa-miasto, ciężko przesłuchiwany, następnie 13 lutego 1951 r. przewieziony do WUBP w Białymstoku, znowu przesłuchiwany, został skazany na 10 lat więzienia.

Zwolniony i zrehabilitowany w 1954 roku zmarł w 1958 roku w wyniku ciężkiej choroby, której nabawił się w więzieniu. Spoczywa na Wojskowym Cmentarzu na Powązkach w Warszawie.

### **Jan Mieczysław Karol Świtalski (1902–1988)**

obrońca Lwowa, ochotnik w wojnie 1920 roku. W czerwcu tego roku w pierwszych dniach kontrofensywy Budionnego pod Kijowem został ranny. Mimo inwalidztwa aktywny w życiu społecznym, m.in. w Związku Inwalidów Wojennych. Studiował na Wydziale



Prawa Uniwersytetu we Lwowie. Od 1939 roku czynnie działał w konspiracji (w AK pod pseudonimem Jacek, z żoną Władysławą – pseudonim Kukula). Pod jego nadzorem, w jego mieszkaniu przy placu Inwalidów 6 w Warszawie znajdowała się największa kasa konspiracyjna IV Oddziału Komendy Głównej AK. Przez cały okres okupacji przechowywał osobę narodowości żydowskiej.

W latach 1950–1954 był inwigilowany przez Urząd Bezpieczeństwa.

Zmarł we Wrocławiu w 1988 roku.

Wiesław Helak

# Nad Zbruczem

(fragment)

Drogą od stajni biegł Hryhor i już z daleka wymachiwał ręką w stronę dworu, jakby chciał uprzedzić dziedzica o tym, co przed chwilą zobaczył. A musiał ujrzeć coś niezwykłego, gdyż nie mógł ani krzyknąć, ani słowa wydobyć z siebie – stracił głos z nagłego strachu, który go mocno chwycił. Widział go Konstanty przez okno, jak biegnie, i zaraz wyszedł, gdy tylko stajenny zbliżył się do podjazdu, gdzie stała czortopchajka zaprzężona w dwa rysaki, gotowa do codziennej lustracji folwarków.

– Konie... konie... – tyle tylko zdążył wyszeptać Hryhor i nagle padł na kolana, i rozplakał się jak dziecko.

– Złodzieje... ukradli... – powtarzał w rozpacz, bijąc się w piersi, że to on nie upiłnował i pokazywał ręką na opustoszałą łąkę, gdzie zwykle pasło się o tej porze całe stado aż do samego wieczora. I cierpiał niezmiernie Hryhor, gdyż konie to było całe jego życie, od dziecka się nimi we dworze zajmował i nigdy nic złego się nie stało, i wiele pokoleń przeszło przez jego ręce, i nawet stary dziedzic, zawsze taki surowy, nie skarcił go ani razu, a teraz wszystkie konie w jednej chwili znikły.

Podniósł Konstanty starego sługę z kłeczek i poszli w stronę łąki, a biegł już za nimi Kostek, który po śmierci dziadka nie odstępował ojca na krok i był z nim we dworze, gdyż mieli razem jechać do folwarków. Dawnym zwyczajem – syn z ojcem.

Ujrzeni drągi zrzuczone na ziemię i ślady wielu kopyt na trawie w tym miejscu, i jedną podkowę wystającą z błota. Podniósł ją Kostek i przytulił do serca, pobladył z przejęcia i grozy. Nikt tak jak on nie kochał tych koni, znał wszystkie ich imiona i w środku nocy zbudzony o każdym z nich mógł mówić godzinami.

Wrócili biegiem do czortopchajki i ruszyli po świeżych śladach stada, które widniały na drodze prowadzącej do Husiatyna. Niedaleko jednak w tym kierunku ujechali, gdyż trop powiódł ich nagle ku Zbruczowi, polną dróżką nieuczęszczaną od dawien dawna.

Zatrzymali się nad rzeką, w miejscu gdzie konie też miały postój, a liczne ślady zostawione na brzegu świadczyły o tym, że piły tutaj wodę. Rozejrzeli się w napięciu, syn z ojcem, pobiegli w jedną, a potem w drugą stronę, z nadzieją że znajdą dalszy trop. Nie było jednak żadnego śladu. I uniosły się ich spojrzenia ku stepowi. Tam, po obcej stronie rzeki, w carskim kraju znikły zapewne ich konie. I rozpacz ich ogarnęła.

Rozeszła się wieść po okolicy o nagłym uprowadzeniu stada i zaraz też doszły do dworu pogłoski różne, a to, że widział dziad proszalny, który z Siedmiogrodu przywędrował, jak nocą kilku Hucułów ciągnęło za sobą wiele szlachetnych rumaków, a inni zaś mówili, że rozpoznali kilka koni dziedzica u handlarza żydowskiego, gdy wiódł je na targ do Tarnopola, a byli też i tacy, powtarzający plotkę, że tabor cygański prowadził niezwykle piękności wierzchowce, białe jak śnieg i czarne, połyskliwe, czystej krwi arabskiej, i że były na pewno pośród nich te z pańskiej hodowli. Czas naglił i każdy trop należało sprawdzić jak najszybciej, toteż nawet żandarmi z Husiatyna pomagali w poszukiwaniach. Wreszcie jeden doniósł, że widziano taką klacz szlachetną na jarmarku końskim w niedalekim Borszczowie, więc nie zwlekając ani chwili pojechał tam



PROZA

Konstanty z synem tego samego dnia. Na miejscu okazało się jednak, że to była prosta chłopska kobyła od pługa, tyle że zadbana i młoda. I nic więcej nie znaleźli żandarmi we wsiach ani w okolicznych miasteczkach.

Trzeciego dnia na podjeździe przed dworem pojawił się nieznanym nikomu młody chłop, ubrany w zniszczony kubrak ze skór jelenich uszyty, podobny do tych, jakie dawniej nosili kłusownicy w głębi boru mieszkający, i poprosił służbę, aby dziedzic wyszedł do niego. A gdy stanął przed nim Konstanty, rzekł tamten:

- Wiem, gdzie są konie... jaśnie pana.
- Gdzie?
- Zaprowadzę...

Spojrzenie miał bystre i twarz budzącą zaufanie, toteż Konstanty kazał zaprzęgać czortopchajkę i po chwili zasiedli w niej z Kostkiem i ruszyli w stronę lasu, gdzie ręką pokazał młody chłop. Nie jechali za szybko, gdyż mężczyzna biegł za nimi, chociaż miejsce z tyłu było wolne, lecz on nie chciał tam usiąść.

Minęli młodniki, potem zręby po sosnowym drzewostanie i zaczęli zagłębiać się w najstarszą część lasu, gdzie kiedyś ciągał się bór i gdzie jeszcze miejscami pozostały jego ślady. Stare, potężne dęby, a na piaszczystych pagórkach rosochate sosny, powykrzywiane przez wiatry wiejące od stepu, tworzyły w tym miejscu niezwyklej pejzaż zwany ostępem Pastelnika, do którego poprzedni dziedzic zabrał Konstantego na polowanie na głuszca. Tutaj jednak droga się kończyła, czarne dęby zostawili za sobą i szli teraz w głąb dawnej puszczy, postępując za młodym chłopem w myśliwskim kubraku. Wspinali się ostrożnie pod górę, a gdy osiągnęli szczyt wzniesienia, ujrzeni w dole płynący pośród drzew strumień. Ruszyli w tamtym kierunku, przedzierając się przez gęste zarośla i posuwali się dalej powoli wzdłuż wartko płynącej czystej jak kryształ wody – aż dotarli do źródła. I wtedy ich oczom ukazała się urokliwa polana w środku starego boru, najpierw jedna, niewielka, a zaraz następna, rozleglejsza i kolejna, całkiem duża, a wszystkie tak doskonale ukryte przed ludzkim okiem, nikt bez przewodnika nie trafiłby tu. I nagle z oddali dobiegło ich ciche rżenie – na ostatniej polanie stało w słońcu stado i pasło się spokojnie. Tylko gniady ogier uniósł czujnie kształtny

łeb i jego rozedrgane nozdrza wyczuły obecność człowieka. Stanął na tylnych nogach, potężny, królujący nad polaną, i zarżał głośno gotowy do walki.

Ruszył ku niemu Kostek bez lęku, przejęty widokiem swego ulubieńca, i biegł z ufnością przez polaną z wyciągniętymi przed siebie rękoma. A ogier stał nadal wyprostowany jak struna, patrzący gdzieś daleko w przestrzeń, jak gdyby nie chciał nikogo rozpoznać, i zdawał się głosić prawdę, że konie nie potrzebują ludzi. I nie chcą tutaj nikogo. Rżał coraz mocniej, aż głos jego niósł się dalekim echem po lesie, a gdy opadł na ziemię, wierzgał nogami i tylko trawa leciała spod kopyt. Biegł dalej ku niemu Kostek, nie zważając na nic. A ogier na jego widok strzygł uszami. I nagle na dźwięk bliskiego sobie głosu zastygł w bezruchu. Obaj się zatrzymali. I obaj ruszyli ku sobie w tej samej chwili. Bliżej, jeszcze bliżej. Już tulił się do niego chłopiec i gaskał po nozdrzach, już mówił czułe słowa. Koń słuchał go uważnie, lecz odejść nie chciał z tego miejsca – jakby tajemna siła trzymała go tutaj ze stadem. Odchodził od Kostka i wracał, i znowu odchodził, jak gdyby chciał powiedzieć mu, że tylko tutaj czuje się bezpiecznie i tylko tutaj może stado ochronić. Chłopiec namawiał go jednak delikatnie, aby posłuchał go, aby zaufał i żeby razem wrócili do domu. I uległ wreszcie namowom ogier i zarżał, i ruszył się, a za nim stara klacz przewodniczka także podniosła łeb. Ustawily się konie w sobie tylko znanym porządku – gotowe do drogi. Teraz na przód wysunęła się biała jak mleko królowa, od wielu pokoleń przewodząca stadu, a zaraz za nią liczne córki Andromedy i Kasjopei, potem żrebaki, wałachy i na końcu, w straży tylnej gniady ogier zwany przez Kostka Ikarem, bo siłę do lotu miał, choć skrzydeł nie miał. Obejrzał się na swego przyjaciela, a ten dosiadł go jednym skokiem, trzymając się grzywy. I szeptał młody dziedzic z czułością imiona:

– Jutrzenka, Carmen, Kaliope...

A za nimi następne, jak panny na wydaniu, szły równo, jedna za drugą: Flora, Ariadna i mroczna Ginewra, i jeszcze ta z ogonem jak peleryna, i ta z nogami wysoko trzymanymi w galopie, i Zulejma ze znamieniem na szyi, i czarna jak antylopa Sahara. Unosiło się stado lekko niczym anioły w chmurach zawieszonych, nie dotykając kopytami ziemi,

i kurzu nie było żadnego, zaledwie powiew na liściach zostawał po ich ruchu. I przeżyli chwilę szczęścia, ojciec i syn, i tylko szabli brakowało – a potem Kostek grał na wiolonczeli. Zajaśniała ta chwila w ciemnym zakątku boru, aż chłop, który ich tu przywiodł, poczuł zazdrość w sercu. Twarz mu się odmieniła – pociemniała, gdy patrzył, jak konie z uśmiechniętym młodym dziedzicem płyną nad wzniesieniem, a potem znikają. Spojrzał na niego Konstany dopiero teraz, gdy zostali sami.

– Przyjdź do dworu po nagrodę – powiedział.

– Nie chcę nagrody... panie – odrzekł chłop.

– Czego więc chcesz?...

Młody mężczyzna podniósł powoli wzrok i popatrzył na Konstantego z przejęciem, z żarem wewnętrznym. Z szacunkiem i uwielbieniem? Milczał.

– A jak ciebie zwą, człowieku?

– Nikifor... Frański syn.

Cisza zrobiła się wielka. Chciał podziękować Konstany. Nie umiał. Odjechał szybko czortopchajką.

– Syn... – powtarzał bezwiednie. Zwolnił, gdyż wydawało mu się, że chce zawrócić.

– I co mu powiem?

Obejrzał się. Nikifor stał bez ruchu i patrzył za nim. Zatrzymał konie. I trwał tak tyłem obrócony, ale nie obejrzał się więcej – czekał, aż tamten przyjdzie do niego. Nie przyszedł jednak.

A gdy wrócił do dworu, dowiedział się od matki, że w latach jej młodości, tuż przed powstaniem, które w styczniu wybuchło, zdarzył się taki sam przypadek, że stado hodowane przez ojca jej, a dziadka jego, znikło pewnego dnia i dopiero po brance chłopci znaleźli je na Pustelniku, gdy przyjechali po siano. Siana nie było, bo konie je zjadły. I przeżyły dlatego. W tym samym miejscu co teraz, wiele lat temu, myślał Konstany gorączkowo, tamtych ogierów i kłaczy już dawno nie ma, nie żyją, czyżby więc pamięć stada istniała? I gdzie ona jest? Skąd wiedziały, że są tam polany pełne trawy i spokoju, a nigdy nie były w tych stronach i nikt ich tu nie prowadził na wypas? Chciały się schronić? I niepokój go wielki ogarnął.

Wyjechał z lwaską wcześniej rano, żeby koło południa być w banku w Husiatynie. Dzień był gorący, a wszędzie na polach

trwały żniwa i widać było, jak parobkowie na folwarkach, które mijali, uwijają się, aby zdążyć zwieźć do stodoł dojrzałe już zboże, bo chmury od wschodu pojawiły się na czystym dotąd niebie. Burza wisiała w powietrzu i dobrze, że stary stangret wziął powóz z budą, pomyślał Konstany i uśmiechnął się gorzko na wspomnienie młodzieńczych czasów, gdy jeździł tylko odkrytym brekiem albo faetonem. Gdzieś za Skalą Podolską usłyszeli daleki odgłos grzmotu, jeden, potem drugi i trzeci, jakby rozwiązał się worek z nimi, a przez niebo przeszła błyskawica i piorun uderzył w gładką wstęgę rzeki wijącej się w dole. Było jednak coś mylącego w tej zbliżającej się burzy, a szczególnie w dźwiękach, które do nich dochodziły, gdyż wydawało się, że kolejne wyładowania nie z chmur się biorą i raczej hukiem są niż grzmiotem rodzącym się w gęstych obłokach. I zaraz też obraz niezwykły, jaki ujrzeli, utwierdził ich w przekonaniu, że są świadkami wydarzenia, którego nikt jeszcze wczoraj nie mógł sobie nawet wyobrazić. Oto od Husiatyna czarne postacie naprzeciw nim wybiegły, z uniesionymi do góry rękoma, jakby w błagalnych gestach ku Jahwe zwróconymi, że zło się dzieje. I płacz, i zawodzenie, i krzyk się niósł daleko, tak się Konstantemu wydawało, że słyszy, lecz było to tylko złudzenie, gdyż huk potworny rozlegał się raz po raz i nic poza nim nie mogło docierać do uszu. Setki mężczyzn, kobiet, starców i dzieci uciekało z miasteczka i wszystkie wąskie uliczki były zatłoczone, i wszędzie powiewały czarne chałaty, jak wielkie żałobne chorągwie. I nowi z tyłu ciągle napierali na tych, co z przodu byli, i co kto miał, dźwigał przed sobą albo na plecach toboły, pierzyny, garnki, gęsi i kury pochwycone w biegu, a obok nich sunęły przed siebie w szalonym pędzie bałaguty długie z towarami różnymi, fiakry, wiklinowe półkoszki i zdawało się, że cały świat żydowskiego miasteczka wyległ w jednej chwili na pola. I wtedy zapalił się młyn – jasnym, wysokim płomieniem. I dwie karczmy stojące nieopodal, a potem wielkim ogniem zajęła się od nich komora celna i wraz z nią flaga cesarstwa na wysokim maszcie – wszystko przy samej rzece. I można było pomyśleć, że to wystarczy, że na tym koniec będzie. A to był początek dopiero. Działa strzelały z tamtej strony Zbrucza równo, jedna bateria

po drugiej, bez przerwy. Już płonęła bóżnica, za chwilę w płomieniach stanął pałac potężny cadyka i bank, i kościół, gorzelnia i browar hrabiów Gołuchowskich, a potem zmiotły pociski z powierzchni ziemi całe przedmieście, gdzie mieszkała biedota. I już pół miasta płonęło, i dym gęsty schodził ku dolinie, a wiatr rozganiał go polach. Teraz ogień z dział uderzył wyżej i druga część zabudowy się zajęła. Husiatyn płonął cały! Z nieba leciał szary pył i wszystkich ogarnął zapach spalenizny, wiatr się zerwał mocny i gnał gorące powietrze wprost na nich, i chmury się od tego wiatru rozstały – aż burza odeszła, a powstał żar ogromny.

– Paniczu! – zapłakał nagle stary lwaszko, gdyż obraz koniec świata przywoływał. I przytulił go do siebie Konstanty. A wokół nich czarne mrowie wypędzonych. Tysiące. Czy trzeba było wszystko zniszczyć? Wstręt nagły poczuł do tych, co stali po drugiej stronie w carskich mundurach. I nadal strzelali, choć już nie było do czego. Wstręt.

– A więc wojna...

Rankiem młode praczki, które przyszły nad rzekę, aby płukać dworskie obrusy, zerwały się nagle z krzykiem i chwyciły pośpiesznie białe płótna, wyciągając je z wody. Najpierw ujrzały, jak środkiem Zbrucza płynęła ku nim wielka brunatna plama. Zbliżała się powoli, napełniając je lękiem, toteż zamilkły wszystkie w jednej chwili. A potem zza zakrętu wyłonił się niebieski kształt, jakby kukła zanurzona do połowy w tej brunatnej plamie, a gdy podpłynął, rozpoznały w nim kobiety żołnierza w kurtce huzarów. I zaraz dwaj następni się pojawili. Młodzi chłopcy patrzący otwartymi oczami prosto w niebo i trzymający się za ręce, jak dzieci, które bawią się w wojnę. A gdy przyjrzano się im dokładniej, zobaczono, że inni żołnierze wzięwali im dłonie sznurami i wrzucili do wody. I tak odpłynęli z nurtem dalej, aż do Okopów Świętej Trójcy, gdzie Zbrucz wpada do Dniestru. Przeżegnał się Hryhor szeroko, a za nim zrobili to samo praczki. Znowu niepokój pojawił się na ich twarzach, gdyż od stepu tętent się podniósł mocny i chmura pyłu uleciała wysoko nad zbitą ławą jadących konno. I coraz bliżej byli, aż ocknął się Hryhor i tknięty przeczcuciem pobiegł ku dworowi z donośnym wołaniem:

– Kozacy!

Na szczycie wzniesienia był, gdy się obejrzał. A tam w dole szarzy od kurzu jeźdźcy, na niezbyt rosnących konikach, przekraczali granicę, a było ich tak wielu, że wydawało się, iż rzeka nagle znikła. Już pierwsze wierzchowce otrząsały się z wody na tym brzegu, a młody esauł z burką zarzuconą na lewym ramieniu i w kołpaczku futrzanym na głowie błyskał szablą i śmiał się głośno. I reszta też huknęła śmiechem, powyciągali kindżały, a jeden nadział na długą pikę leżące w koszu obrusy i przecieradła i puścił je na wodę. Białe płachty rozłożyły się delikatnie porwane nurtem, lecz niedługo były białe, bo czysta woda krwią spłynęła.

I biegł dalej Hryhor z krzykiem straszliwym, tuż pod oknami dworu, a potem przez park koło kaplicy i kierował się prosto na łąkę, gdzie pasło się stado. Tylko jedno miał w sercu i w głowie, że konie trzeba chronić. Wybiegł za nim Kostek po chwili i obaj zrzucili dragi na pastwisku. I uchwycił się grzywy gniadego ogiera młody dziedzic i pojął, że trzeba natychmiast uciekać. Ruszyło za nimi stado w swoim ordynku ustawione, wyczuwając, że grozi im niebezpieczeństwo – a skrzydeł znowu dostał lkar! Niewiele czasu minęło i znikli bez śladu w ciemnościach lasu. Drogę zaś znali dobrze – na Pustelnik pamięć stada ich prowadziła.

Stanął w drzwiach dworu Konstanty, bo park zapełnił się Kozakami. Esauł krzyknął do niego:

– Konie! Łoszadi! Dawaj łoszadi!

I nie pytając o nic, popędzili jeźdźcy na małych konikach prosto do stajni. I wyciągnęli z boksów konie, jednego po drugim. A potem ustawili je pośrodku parku.

Popatrzył na nie esauł, lecz nie był zadowolony, złości nie krył – kilka sztuk zaledwie znaleźli. Same pociągowe, perszerony, do jazdy niezdatne.

Zdażył dojechać do Lwowa, zanim obce wojska tam wkroczyły. Załatwił sprawę w banku, lecz na noc musiał zostać w mieście, gdyż zewsząd dochodziły wieści, że drogi są już zamknięte i odjechały ostatnie pociągi na zachód. A na ulicach od rana ruch panował ogromny, ze szpitali wylegli ranni żołnierze, których nie zdążono na czas ewakuować, i teraz sami szukali drogi ucieczki, ciągnąc nieprzerwanym sznurem w stronę dworca kolejowego. Na próżno!



Wlokła się chodnikami i brukowaną jezdnią masa niebieskich płaszczy nieprzepasanych niczym, a na ich tle mocno odcinały się białe temblaki, obwiązane bandażami głowy, gipsem powleczone kończyny i wszędzie czuło się ostrą woń jodoformu, eteru, krwi i ropy. I nagle ta masa zafalowała, jakby jeden drugiemu przekazywał tajemną wieść – od Łyczakowa poszedł ten powiew zły. Stamtąd właśnie wynurzył się spomiędzy cmentarnych nagrobków oszalały ze strachu austriacki podoficer i galopował przez całe miasto z krzykiem:

– *Die Russen sind da!*

I jeszcze wzmogła się panika, tłum okaleczonych żołnierzy przewalał się z jednej ulicy na drugą, nie znajdując schronienia, gdyż wszystkie bramy były pozamykane. Chciał się Konstanty przedrzeć przez tę krwawiącą ludzką masę, lecz za blisko stali siebie i niósł go ten tłum na wprost, a zapach spotniałych ciał wypełniał wokół upalne powietrze. Słabo mu się zrobiło, gdyż od dziecka był wyczulony na zapachy. Ten przeklęty jodoform, pomyślał i zasłonił twarz chusteczką. Nie na wiele się to jednak zdało, ostry zapach wciskał mu się do nosa, a on nic nie mógł zrobić.

Wstręt go ogarnął i wściekłość.

Otworzyła się wreszcie brama w jednej z kamienic, zdążył przebiec przez podwórko i nagle znalazł się na rynku. Pusto było tutaj zupełnie, wszystkie okna pozamykane w ten upał i wydawało mu się, że nikt tu nie mieszka, że nie ma wojny, że panuje pokój. Tylko w niektórych oknach pojawiły się obrazy Matki Boskiej. I wtedy ujrzał, jak w słońcu zza ratusza wyjechał patrol konny. Zatrzymali się. Młody oficer krzyknął do Konstantego:

– *Zdies' Rassija!*

Zadrżał na dźwięk tych słów. Słyszał ten okrzyk już – dawno temu nad rzeką, gdy rysował pławiące się konie, a ojciec jego pierwszy raz użył słowa – barbarzyńcy. Podniósł głowę i popatrzył w twarze rosyjskich żołnierzy. Były twarde, pewne swej siły.

I znowu ogarnął go wstręt.

Szły ze śpiewem, we wzorowym porządku, szeregi doskonałych wysokich żołdatów i nieśli na ramionach karabiny z długimi jak szpady bagnietami, i przejeżdżały niekończącym się sznurem wozy i działa z jaszczkami okrytymi sianem i słomą. W powietrzu za-

pach juchtu i dziegciu się unosił – a wokół tylko te długie aż po kostki szare płaszcze, okrągłe czapki i sterczące w niebo sztyki.

I wszędzie głosy pełne pychy.

Musiał natychmiast opuścić hotel „George”, w którym zawsze się zatrzymywał, bo teraz zajęli go w całości rosyjscy oficerowie i służba na ich polecenie wystawiła rzeczy wszystkich gości do holu. Nie mógł jeszcze z miasta wyjechać, gdyż drogi wylotowe były nadal zamknięte i stały tam mocno uzbrojone posterunki. Błąkał się więc po ulicach, nie wiedząc, co począć dalej, a nowe obyczaje, jakie wprowadzał okupant, docierały do niego na każdym kroku. Oto kilku pijanych pastuchów w mundurach pędziło przez środek miasta stado bydła, które postępowało za wojskiem jako żywe zapasy żywności ubijane codziennie i gotowane w wielkich kotłach. Byki, krowy, cielęta, owce, a nawet kozy, wszystko to ryczało i bieгло przed siebie na oślep, poganiane długimi batami, a po ich przejściu cała elegancka ulica Sapiehy, przy której zatrzymał się Konstanty, stała się wielką nieczystością. Jeden z pastuchów, wywijając gołą szablą, szedł z krzykiem w jego stronę i gdyby nie nadbiegł piechur z eskorty transportu i nie odepchnął czabańczyka, zapewne ciąłby tą szablą dla przyjemności.

Wrócił na rynek, gdyż tam wydawało się bezpieczniej, lecz i w tym miejscu miasto zmieniało się z godziny na godzinę. Nagle, nie wiadomo skąd i kiedy, nadsięgnęła sfora urzędników, przechadzali się już stójkowi w carskich policyjnych uniformach, a wiatr rozwiewał czarne sutanny krzykliwych długowłosych popów. Wszędzie ich było pełno.

Wstrząsnął nim ten obraz. Zrozumiał wreszcie – to są obcy.

Nazajutrz ujrzał, jak stójkowi rozwieszają na murach ogłoszenia cyrylicą zapisane, nakazujące pod grozą sądu wojennego oddanie wszelkiej broni. I zobaczył, jak zatrwożeni ludzie znosili do magistratu śrutówki, browningi i sztucery w solidnych futerałach i oddawali również ze łzami w oczach stare rodzinne pamiątki od pokoleń będące w ich domach, zabytkowe muszkiety, rapiery i cenne skałkowe pistolety. Pod karą śmierci nieśli stara samotna kobieta, ubrana na czarno, ozdobną karabelę.

Zapełniły się aż pod sufit sale na parterze magistratu.

I nagły wstyd go ogarnął na ten widok. Tak przestraszyli się najeźdźców, że oddaliby im to, co najcenniejsze, pomyślał zdumiony swoją reakcją.

Znowu wstręt poczuł, lecz tym razem do siebie – on także z tego ograbionego narodu pochodzi.

I tak na przemian, wstręt i wstyd, i wreszcie duma się obudziła – pojął w jednej chwili, że ojcowych czarnych szabel husarskich nigdy by nie oddał.

A gdy tak stał pośród tych biednych ludzi, zagadnął go zniecała żołdat w długim do kostek szynelu.

– *Czasy u ciebia jest?*

Wyjął Konstanty odruchowo z kieszonki surduta złoty zegarek po ojcu i otworzył jego wieczko. Już chciał powiedzieć obcemu, która jest godzina, a wtedy żołnierz wyciągnął spokojnie rękę, jak gdyby nigdy nic, i szarpnąwszy lekko za łańcuszek, zerwał go i schował trofeum do kieszeni. Oddał się nieśpiesznym krokiem, pogwizdując. I tylko bagnet trójkątny postawiony na sztorc na karabinie kolebał mu się regularnie na plecach.

Po powrocie do domu zamknął się w gabinecie ojca i przeglądał dokumenty rodowe, listy, a wreszcie sięgnął po zapiski z powstania, które rodzic trzymał w starym kufrze zawinięte w jedwabny szal, jak najcenniejszą pamiątkę życia. Studiował je długo, wnikliwie, odkładał, znowu zaczynał od początku. I pojawiło się to męczące pytanie:

– Ale jaka racja?

Potem otworzył wszystkie drzwi w amfiladzie, a stara Marfuta pozapalała świece w każdym pokoju, gdyż wieczór się już zrobił, i przechadzał się tak po całym dworze. W tę i z powrotem. Przystawał, znowu wracał do gabinetu, jeszcze raz czytał zapiski, smutne i rozdzierające, a trwało to przez noc, aż do rana.

– Jaka racja?...

Powtarzał sobie to pytanie wiele razy – czy lęk tylko i słabość nie pozwalają mi odpowiedzieć, myślał w napięciu.

O świcie zdał sobie sprawę, że jego ojciec w najważniejszych chwilach życia też tak czynił. Spacerował godzinami w amfi-

ladzie i wtedy nie mógł do niego podchodzić, nie mógł mu przeszkadzać, i nie wiedział dlaczego. Obraz ten prześladował go przez wiele lat. Sięgnął w rozstargnieniu do kieszonki, aby sprawdzić, która jest godzina. Dłoń jednak nie wyczuła zegarka. Tylko łańcuszek zerwany.

Poszedł do kaplicy i tam modlił się przed figurą Chrystusa ze związanymi rękoma – świadom swojej małości.

Wrócił do dworu i powiedział matce, co chce uczynić, a ona przyjęła to ze zrozumieniem. W milczeniu. Wręczył jej na przechowanie testament, który sporządził w nocy i poprosił o błogosławieństwo.

Kłękął przed rodzicielką z pochyloną głową i poczuł znak czyniony nad nim.

Świeżo otynkowane wnętrza cerkwi jaśniało bielą w jaskrawym słońcu, robotnicy wynosili rusztowania, baby ze wsi brały się za porządki. Żańcia z dumą pokazywała na ściany i przestronne wnętrza:

– Jeszcze tylko ikonostas i będą się modlić.

Patrzył na nią Konstanty chyba pierwszy raz ze wzruszeniem. Zbudowała świątynię dla miejscowej ludności i powtarzała, że idą ciężkie czasy, a prosty lud potrzebuje wtedy najbardziej modlitwy. Nie podzielał jej przekonania, a nawet doszło między nimi do istotnej różnicy zdań, wydatek w takim czasie był ogromny, ale jej wiara w zalety tego ludu zawsze wlewała w jego serce nadzieję, toteż ustąpił.

Teraz szukał słów, które mogłyby wynagrodzić jej wszystkie ciężkie chwile, jakie z nim przeżyła.

– Żańciu, kochana...

Urwał i nagle, jakby wbrew sobie, przytulił ją do siebie. Podała się zdumiona i przylgnęła mocniej, i chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie – przecież nigdy jej nie tulił.

I zaraz się domyśliła.

– Wyjeżdżasz...

Tylko Kostek nie chciał się z nim pożegnać. Gdy usłyszał, że ojciec znowu ich opuszcza, wyjął wiolonczelę i zaczął grać suity Bacha. Bez końca. I nie chciał rozmawiać. Słuchał Konstanty muzyki i tak się rozstali.

# Z inż. Janem Wingralkiem

rozmawia Janusz M. Paluch



**Od dłuższego czasu szukałem kontaktu z Panem. Wszyscy kierowali mnie do Warszawy. Tymczasem opuścił Pan stolicę dla Beskidu Żywieckiego...**

Na emeryturze chciałem zamieszkać daleko od zgiełku miasta. Po 50 latach wspólnego życia w stolicy zdecydowaliśmy z żoną o wyjeździe. Tu jest pięknie o każdej porze roku, podobnie jak w rodzinnej Sądecczyźnie.

**Chciałem rozmawiać o Pana pracy przy ratowaniu Cmentarza Orłąt Lwowskich...**

Na szczęście całą dokumentację mojej pracy na rzecz Cmentarza Orłąt udało mi się zgromadzić i opublikować. Dwie książki, które ukazały się w latach 1993–1995 nakładem Instytutu Lwowskiego. To jest mój pamiętnik, inżyniera budowlanica, który pisałem na gorąco w tamtych dniach, od serca. A do tego album wydany w nakładzie 3000 egzemplarzy, który rozszedł się błyskawicznie. Opisałem w nich wszystko, co tam we Lwowie robiliśmy, jak odgruzowaliśmy i odbudowaliśmy Cmentarz Orłąt Lwowskich. Teraz, chociaż jestem już schorowany, mam trudności z poruszaniem się, jeżdżę po okolicznych bibliotekach i domach kultury, spotykam się z młodzieżą i opowiadam

im o Lwowie, o bohaterskich dziewczętach i chłopcach, którzy 100 lat temu, w listopadzie 1918 roku, postawili na szali swe życie w obronie polskości miasta Lwowa.

**Z dzisiejszej perspektywy opowiada Pan o tamtych czasach z uśmiechem. Ale przecież to nie było takie proste...**

Rzeczywiście, nie było tak kolorowo. Przecież działaliśmy w obcym państwie. Wielokrotnie byłem wzywany do prokuratora i poddawany przesłuchaniom. Nie było to najmiłsze, choć wiedziałem, że bronić mnie będzie konsulat generalny RP.

**Budził Pan Lwowskie Orłęta. Jak Pan trafił do Lwowa?**

Pracowałem w Energopolu. Jeszcze nie było kontraktów podpisanych, a ja już tam pojechałem na umowę międzyrządową. Wtedy było jeszcze ZSRR. Byłem zatrudniony jako inżynier. Wcześniej byłem w innych miejscach Związku Radzieckiego, na innych budowach, na przykład na budowie smoleńskiej elektrowni atomowej w Diesnogorsku. Te pobyty przeplącałem zdrowiem – zawał, bajpasy... A do Lwowa pojechałem na budowę rurociągu przechodzącego przez Lwów. Ale to było tylko hasło, wielkie oszustwo. Tak naprawdę budowaliśmy szkoły, przedszkola, budynki mieszkalne, wznosiliśmy różne obiekty na potrzeby tego rurociągu. Wtedy poznałem pana Józefa Bobrowskiego z Krakowa. Pracowaliśmy razem. Byłem na budowie jego zastępcą. To był wspaniały człowiek. Kiedy przyjechałem do Lwowa i zameldowałem się u niego do pracy, zapytał mnie, skąd jestem. *Z Nowego Sącza – mówię. Bardzo się ucieszył. – To już wiem, że na pana mogę liczyć!* – powiedział radośnie. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi. W krótkim czasie poznał mnie z takimi ludźmi we Lwowie, o których nie można nigdy zapominać. Pani Janina Zamojska, niesamowicie sympatyczna i ciepła kobieta mieszkająca w niezwykłym domu. Zaszczyciła mnie swą przyjaźnią, a ja do dziś jestem dumny, że byłem przyjacielem jej domu. To była wielka osoba! Tak walczyła o zwroty kościołów we Lwowie. Ileż pracy włożyła, by kościół Marii Magdaleny ponownie został świątynią i wrócił do kościoła rzymskokatolickiego. Niestety, nie do końca jej się to udało. Walczyła też o obecność języka polskiego w katedrze i w kościołach rzymskokatolickich. Mieszkała w domu, który na wskroś



był polski, czułem się tam jak w muzeum. W jej mieszkaniu zachowała się atmosfera lat przedwojennych. Kiedyś odwiedziliśmy ją z państwem Bobrowskimi. Pani Janina miała oswojoną papużkę o imieniu Kubuś. Papużka żyła na wolności i fruwała sobie po całym mieszkaniu. Siedzieliśmy przy stole, nakrytym piękną i bogatą zastawą – jak w jakimś pałacu arystokratycznym. Kiedy jedliśmy obiad, papużka uparcie przysiadła na głowie pani Krystyny Bobrowskiej. Pani Krystyna bardzo się bała Kubusia i za każdym razem wznosiła okrzyki grozy, które wywoływały przy stole salwy śmiechu. A Kubuś wystraszony okrzykiem uciekał, po to by za chwilę znowu podjąć próbę usadowania się na głowie pani Krystyny. (śmiejch). Poznał mnie też z późniejszym biskupem o. Rafałem Kiernickim. Przeurocza postać, człowiek legenda. Pierwszy raz widziałem go w czasie mszy świętej w katedrze. W końcu podczas zwiedzania z panem Bobrowskim katedry poznałem osobiście o. Rafała. On zawsze był zajęty, ale tego dnia tylko dlatego, że był z nami pan Bobrowski, oprowadzał nas po katedrze. Mówił o historii kościoła. Potem spotykałem go częściej. Kiedy go odwiedzaliśmy, robił nam wykłady z historii Lwowa, historii katedry. Mówił szybko i niewyraźnie. Trzeba było się skupiać,

by nie uronić słowa. Był świadom tego, że mówi szybko... Śmiał się z tego i zawsze obiecywał, że będzie opowiadał wolniej. Ale rzadko mu się to udawało. Pamiętam też msze święte na przełomie lat 80. i 90. XX wieku organizowane 1 listopada na Cmentarzu Orłąt. Budowaliśmy ołtarz polowy, przy którym ks. kardynał Marian Jaworski i o. Rafał Kiernicki odprawiali msze święte. Potem odbywała się procesja na cmentarz Łyczakowski do czterech mogił Świętych Polaków. Do o. Rafała woziliśmy też różnego rodzaju sprzęty dla potrzeb Kościoła i Polaków we Lwowie: a to papier, kserokopiarki czy różne sprzęty elektroniczne dostarczane przez stowarzyszenia działające na rzecz Kresów w Polsce. Wpadłem też wtedy na pomysł, by w katedrze zrobić stoisko ze sprzedażą pocztówek i obrazków malowanych przez tamtejszych Polaków. We Lwowie mieszkało wtedy mnóstwo zdolnych ludzi. Trwało to może dwa–trzy tygodnie. Potem miejscowe władze zakazały tej działalności. A ja chciałem, żeby miejscowi Polacy mogli zarabiać. Przecież tam była tak ogromna bieda. Chodziło też o to, by dać im „wędkę”, a nie pieniądze, jak jałmużnę.

**Skoro wspomina Pan lwowskie postaci związane z Cmentarzem Orłąt, nie można pominać państwa Cydzików.**

Oczywiście, w końcu poznałem też państwa Cydzików – strażników Cmentarza Orłąt Lwowskich. To byli bardzo zaciężni ludzie! To oni uczyli nie tylko mnie historii Lwowa i Polski. Dzięki nim poznałem wtedy historię cmentarza Łyczakowskiego i zasypanego śmieciami Cmentarza Orłąt Lwowskich. Pani Cydzikowa była bardzo przyjaźnie do nas nastawiona. Ale jak jej się coś nie podobało, to nie odpuszczała! Nie było wtedy sentymentów. Kiedy nasi ludzie na polecenie Andrzeja Przewoźnika musieli zdemontować mosiężne litery z odnowionej mogiły Nieznanego Żołnierza, wpadła do naszego biura cała trzęsąca się ze zdenerwowania i krzyczała: *Jak tak można! Panie inżynierze, tak nie może być! Proszę mi oddać te litery! Ja je muszę mieć!* Na drugi dzień znalazłem te litery u któregoś z brygadzystów, zapakowałem i osobiście odwoziłem i oddałem pani Cydzikowej. Prosiłem ją, by niepotrzebnie nie wprowadzała takiej niemłej atmosfery, bo przecież to nie od nas zależało usunięcie tego napisu, że musieliśmy wykonać żądanie Ukraińców. Potem zresztą trwały z władzami Lwowa negocjacje dotyczące tego napisu przez 5–6 lat. Napis zmieniano zresztą kilka razy. Walka o Cmentarz Orłąt trwa do dzisiaj. O każdy szczegół, każdy element negocjacje, targi... We Lwowie na każdym kroku, na każdym szczeblu, począwszy od władz miejskich po władze Cmentarza Łyczakowskiego, napotykałyśmy na problemy. Praca z Cydzikami wywołała u mnie wielką miłość do Lwowa, co doprowadziło do tego, że w 1997 r. przystąpiłem z Energopolem do przetargu na odbudowę Cmentarza Orłąt we Lwowie, który wygraliśmy, i pojechałem tam ponownie. Dzisiaj stan zdrowia nie pozwala mi bywać w tym moim ukochanym mieście.

**Kiedy Pan poznał tych ludzi, Cmentarz Orłąt był rumowiskiem, śmietniskiem. Tam były tylko ruiny Pomnika Chwały, zbezczeszczone kaplica i budynki warsztatów samochodowych w miejscu katakumb...**

Rzeczywiście tak wyglądało to miejsce – lwowskie *campo santo*. Pobojuwisko zarośnięte krzakami, zdewastowane, gdzie waleśały się bezdomne psy, a miejscowi pijacy mieli swe meliny, choć teren był ogrodzony i niby nikogo nie wpuszczano. Myśmy się zaprzyjaźniali z tymi ludźmi i psami. Wchodziliśmy na cmentarz ich ścieżkami, przez dziurę w murze. Ukraińcy bramę na Cmen-

tarz Orłąt, od strony cmentarza Łyczakowskiego, zamurowali ceglami. Główna brama, od strony Pohulanki, nie została do 1939 roku skończona. Działaliśmy nieformalnie na terenie obcego państwa. Ale wtedy nie było tam innych możliwości. W końcu zaprzyjaźniliśmy się z głównym dyrektorem tego cmentarnego kombinatu budowlano-pogrzebowego. No co tu będę ukrywał... Wypiliśmy z nimi morze wódki, woziliśmy im z Polski różne ciuchy dżinsowe. W końcu, chcieli, żebyśmy im „zorganizowali” adresy osób w Polsce, którzy mieli grobowce rodzinne na cmentarzu Łyczakowskim. Chcieli otrzymać zrzeczenie się praw do grobowców. To był niesamowity handel! Powiedziałem o tym panu Bobrowskiemu. On trochę się przeraził, że za daleko sprawy zaszyły, ale wiedział, że inną drogą niczego nie wskóramy. Powiedział tylko: *Ostrożnie panie Janie, żebyśmy nie przekroczyli granicy bezpieczeństwa. Milicja u nich czuwa...* Podaliśmy im jakieś lipne adresy – oczywiście sprawdzone. Mu-



Z O. Rafałem Kiernickim, późniejszym biskupem lwowskim

sieliśmy przecież zdobywać ich zaufanie. To była naprawdę trudna i niebezpieczna gra. Jak bardzo, okazało się, kiedy walczyliśmy o szczegóły dotyczące Cmentarza Orląt. W końcu zostali oblaskawieni. Wewnętrznie wyznaczaliśmy sobie termin wejścia ze sprzętem na Cmentarz Orląt. Pamiętam jak dziś, powiedzieliśmy: *dwudziesty maja*. Oni się zgodzili. Powiedzieli jednak: *Tylko mało róbcie, jakieś ścieżki tylko, dojścia...* Miała przyjechać na Cmentarz Orląt jakaś ważna delegacja radziecko-polska, która miała ocenić sytuację. Ścieżki, które mieliśmy wykonać, miały pokazać, że oni nie są takimi barbarzyńcami, skoro można na cmentarz jednak dojść. Wykorzystaliśmy tę poufność, cichą zgodę dyrektora kombinatu cmentarza Łyczakowskiego. Wszystkie ustalenia były trzymane w największej tajemnicy. Musieliśmy przygotować sprzęt, narzędzia, wtajemniczyć ludzi. To było najtrudniejsze, bo nikomu, kto nie powinien o tych działaniach wiedzieć, nie mogliśmy mówić. Bardzo baliśmy się prowokacji. W sobotę 20 maja 1989 r. po pracy 52 ochotników wsiadło do autobusu i pojechaliśmy. Za nami jechały koparka, spychacz, ładowarka i wywrotki. Na Cmentarzu Orląt wylądowaliśmy o 17.50. Jak myśmy tam wjechali ze

sprzętem, jak spod ziemi wyrosli lwowiacy! Polacy. Trzeba było widzieć ich twarze, tży płynące z ich roziskrzonych oczu. Zabrali się za pracę gołymi rękami! Jak tylko spychacz odkrył jakiś grób, rozlegał się rzewny szloch i płacz. Myśmy byli dumni! I wtedy zaczęło się nasze dochodzenie, bo przecież skądś musieli się dowiedzieć o naszych jednak tajnych planach. Okazało się, że lwowiacy mieli wszędzie swoich ludzi. Był tam też pan Cydzik, którego znałem, ale o naszych zamiarach z nim nie rozmawiałem. Gołymi rękami wrywali krzaki, chwasty, usuwali kamienie i gruzy. Przychodzili codziennie całymi rodzinami. Starzy, młodzi i dzieci. Przynosili pierogi, kanapki, kompoty, by nie tracić czasu na chodzenie do domu na posiłki. Wiedzieli, że trzeba robić jak najszybciej, zanim rozmyśli się miejscowa władza, zapewne zszokowana tym, co się dzieje. Harowali od świtu do nocy! Lwowiakami, oczywiście w porozumieniu z nami, kierował pan Cydzik. To, co robiliśmy, oficjalnie nazywało się porządkami ogólnymi. Odślanialiśmy spod gruzów i śmieci ramy grobów. Przerwaliśmy unicestwienie Cmen-



Zbezpieczone katakumby

tarza Orląt z 2959 mogiłami! Cydzikom należy się za to osobny hołd! Przecież oni byli strażnikami tego miejsca. Pani Cydzikowa była plastyczką, robiła lampiony i kwiaty. Ludzie przychodzili po kryjomu. Przecież jawnie nie było można! Pamiętali o wszystkich rocznicach, nie tylko o święcie zmarłych, ale o lotnikach amerykańskich w dniu ich święta narodowego. Czy o piechurach francuskich. Wieszali wianki w barwach narodowych flag. Narażali się. Nikt z ambasady amerykańskiej czy francuskiej nigdy w to zapuszczone miejsce nie przyjechał. Bali się naruszenia protokołu dyplomatycznego. Oczywiście, to składanie wianków odbywało się dzień–dwa przed lub po święcie, by nie narazić się na aresztowanie...

#### Jak długo trwało wywożenie śmieci?

Długo! Jeszcze wtedy, gdy trwały prace porządkowe na cmentarzu, wygraliśmy oficjalny przetarg. Przecież ten półkolista stok południowy, gdzie pochowanych jest tysiąc żołnierzy, przed Pomnikiem Chwały i kolumnadą, tam nieustająco trwały przecież prace przygotowujące grunt pod odtworzenie cmentarza. Wie pan, że jak opowiadał o tym młodzieży, to nadal przeżywam to cholernie. Do dziś tkwią we mnie niesamowite emocje...

#### Skąd pomysł, by zabrać się za odgruzowanie Cmentarza Orląt?

To był impuls, który wyszedł od pana Józefa Bobrowskiego. Nasz papież Jan Paweł II dużo w tamtych czasach mówił o Polakach żyjących poza granicami kraju, o rodakach żyjących na Kresach. Słowa Ojca Świętego podtrzymywały nas na duchu. Bobrowski do nas mówił: *Chłopcy, pamiętajcie, że o tym, że budujecie tutaj tę kotłownię czy te budynki i domy mieszkalne, to ludzie szybko zapomną. Ale jak przerwiecie unicestwienie Cmentarza Orląt, to wszyscy wam to zapamiętają. Jak skończycie to dzieło, wszyscy nam to na wieki będą pamiętać.* Niestety, coraz mniej ludzi wie i pamięta o tej przełomowej da-



cie, to jest 20 maja 1989 roku. Ale wiedzą, że dzieło odzyskiwania Cmentarza Orląt my rozpoczęliśmy, że robił to Energopol. W tym czasie poznałem i zaprzyjaźniłem się z wieloma lwowiakami. Między innymi z Andrzejem Chlipalskim, Adamem Lewickim z Tarnowa, Jerzym Masiorem z Nowego Sącza, Januszem Wasylkowskim z Warszawy.

#### Pamiętają, pamiętają... Choć pewnie w pamięci zapadła data otwarcia Cmentarza Orląt Lwowskich...

Nie należy mówić o otwarciu Cmentarza Orląt! Otwiera się most, linie kolejowe, autostrady i inne obiekty publiczne. To była uroczystość oddania i poświęcenia odnowionego Cmentarza! I to nie odbudowanego, a w części odbudowanego Cmentarza – to trzeba podkreślać! Dokładnie opisałem, co tam jest zachowane w oryginale, a gdzie dopuszczono się kłamstw i fałszerstwa historii. Choćby przy pomnikach lotników amerykańskich i piechurów francuskich, przy grobie nieznanego żołnierza... Były to wymuszone negocjacje treści napisów w tamtych miejscach. To było okropne! Zresztą ostrzegali nas lwowiacy: *Nie umawiajcie się z tymi władzami. To są komuniści. A w polskim konsulacie też rządzą komuniści!* Znałem tych ludzi osobiście, piłem z nimi wódkę. Proszę się nie oburzać, tam bez wódki niczego nie można załatwić. To byli przecież ludzie tamtego systemu. Przewracali wszystko, co ustaliliśmy. Przecież na mnie doniesiono do prokuratury!

**Przecież działaliście w zgodzie z prawem i z ustaleniami. A że po fakcie oni zmieniali ustalenia, to raczej ich powinien ścigać prokurator...**

Oni byli u siebie... (*śmiech*) Ze mną zrobiono tak chytrze, że wezwali mnie od razu do prokuratury wojewódzkiej. A to dlatego, że od jej postanowień mogłem się odwoływać tylko do krajowej prokuratury w Kijowie. Pominęli jeden szczebel... Podczas przesłuchania tak się zdenerwowałem, że myślałem, że zaraz pobiję kogoś! Wszystko trwało ponad cztery godziny i w efekcie postawiono mi zarzut dotyczący zniszczenia płaskorzeźb sześciu aniołów umieszczonych w katakumbach. Jak to usłyszałem, że niby ja je zniszczyłem, to myślałem, że mnie coś trafi! Donos na mnie napisał jeden z szefów cmentarza Łyczakowskiego, Hawryszkiewicz. To był wyjątkowy, w najgorszym tego słowa znaczeniu, „komсомолец”. Inne zarzuty to wjazd z transportem na teren cmentarza – takie dotyczące wszystkiego, byle tylko się do mnie przyczepić. Głównym był jednak ten, że dokonałem wandalizmu na figurach aniołów. A anioły miałem schowane w bazie w Pasiekach, bo były przecież wykonane i przywiezione z Polski i na zamontowanie czekały w Pasiekach dwa lata! Pewnego dnia na budowę przyszedł prokurator – ten sam, wojewódzki – i zaczął mnie przesłuchiwać. Ja się temu sprzeciwiłem i powiedziałem, że muszę natychmiast powiadomić konsula generalnego RP o postępowaniu prokuratorskim przeciwko mnie. A on do mnie wtedy: *Panie Janeczku, po co to robić? Parę chwil panu tylko zajmę. Ustalimy tylko drobiazgi...* Został ze mną mój zastępca, pan Balcerzak, jako świadek. Ta chwileczka trwała półtorej godziny! Właściwie to codziennie miałem takie niespodzie-

W kwietniu 1989 r. we Lwowie przebywali dwaj turyści – emeryci, byli wysocy prominenci PRL, jeden lwowianin (wieloletni wicepremier i długoletni ambasador i dziekan korpusu dyplomatycznego w Moskwie), drugi rodem z Kołomyi (wieloletni wicepremier, długoletni stały przedstawiciel w RWPG w Moskwie, podpisał w imieniu PRL historyczne porozumienie gdańskie z Lechem Wałęsą). W niespodziewanej dyskusji z nimi w bazie Energopolu Stanisława S. Niciej i Jana W. Wingrałka okazało się, że „nie wiedzieli” o profanacji i unicestwieniu Cmentarza Orłąt, a w czasie pełnienia przez kilkadziesiąt lat najwyższych funkcji w PRL i w Moskwie nie odwiedzili swych miejsc rodzinnych...

wane kwiatki w pracy. To była nerwówka, po której każdego dnia długo dochodziłem do siebie. Kiedyś byłem świadkiem, jak ten Hawryszkiewicz szarpał naszego projektanta, pana Skrzypczyka z Warszawy – spokojnego i przeuroczego człowieka. *Won stąd, tu nie wolno tego robić!* – wrzeszczał. Czuł się tak pewnie, bo przyszedł w asyście milicji municypalnej i wszystkich, całą polską ekipę, wygonili wtedy z cmentarza. Nie da się mówić o tym spokojnie, mimo że tyle lat już upłynęło...

**Jak się skończyła sprawa w prokuraturze? Umorzyl?**

A skąd! Przesłuchiwali mnie trzykrotnie. Wyjaśniałem wszystko na piśmie. Oni to przyjmowali. Próbowali oszukiwać mnie, przesuwali daty przesłuchań wstecz lub do przodu, jak było im wygodnie. Czasem przeinaczali moje zeznania. Ja zawsze szczegółowo czytałem swoje zeznania. I jeśli tylko znalazłem jakieś uchybienie, doprecyzowywałem protokół.

**Atmosfera takich przesłuchiwań musiała być zastraszająca. Chcieli pewnie pana zastraszyć, żeby pan**

**zostawił budowę i wyjechał.**

Tak, nawet stawiali takie żądania, ci z OUN i władz miejskich, żeby wyrzucić stamtąd niektórych Polaków. Wymieniali nazwiska Przewoźnika, Wingrałka i jednego z konsulów – już nie pamiętam którego. Ponieważ byłem najślabiej ustawiony w tej hierarchii urzędniczej, to musiałem wyjechać ze Lwowa, a mój szef w Warszawie powiedział mi wtedy: *Panie Janie, wpadł pan w tryby wielkiej polityki.* To był 1999 rok. Pana Przewoźnika nie ma już między nami, więc nie chciałem go oceniać. Kiedy miałem wyjechać ze Lwowa, też mi powiedział, że stałem się ofiarą wielkiej polityki.

**Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.**



**Krzysztof Kołtun**

## Wstańcie! Chodźmy!

Płacę nad wami Orłątka...  
 jak nie płakać, jesień płacze  
 – dzika róża kapie krwawo w ziemię  
 zmrożonymi owocami – słodko.  
 Trzmielina na Pohulance  
 pospuszczała babie oczka z nitek.  
 Chryzantemy na suchym piasku  
 ledwie w wieńcu trzymają główki  
 – bladych kwiatków.  
 Posmutniały kościelne wieże  
 – antychryst pozamykał dzwonnice:  
 „Małczat! Nykryczat!”  
 kopiąc nogą w dzwon, który runął  
 z belki.  
 Nie mógł znieść milczenia  
 – u kolejarki, świętej Elżbiety...  
 Płaczą więźni święci u Jezuitów, Karmelitów  
 – od Dominikanów – święty Jacek wszedł  
 na mur obronny – z monstrancją!  
 Ruskie wy, ukraińcy – kołchoźniki  
 jeszcze wy w piekle będziecie tańczyć  
 z Bandera,

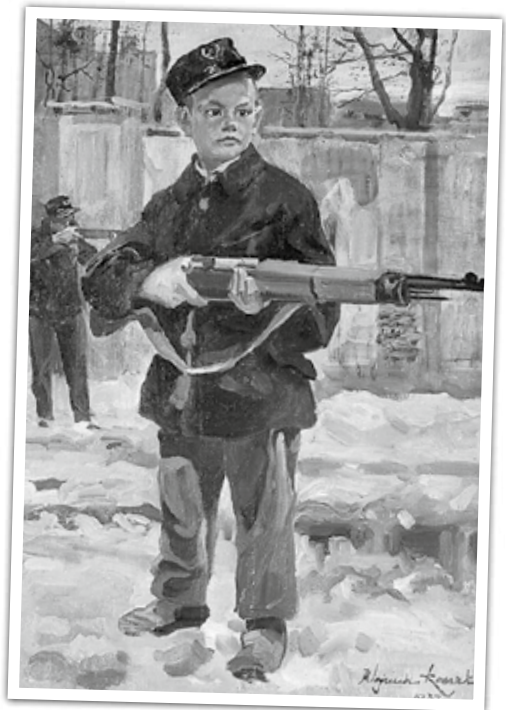
z Leninem, Stalinem, Berią...

A święty Kapistron z Janem od Bernardynów,  
 z Zygmuntem od biedaków  
 i Bilczewskim biskupem  
 – wzięwszy karawan świętych babuszek w jasyr  
 – uciekli,  
 do Dukli,  
 gdzie niebo jaśniutkie do dzisiaj.  
 Oparł się święty Antoni Pustelnik  
 z bratem Antonim z Padwy.  
 Krzyż spod ratusza podjęli  
 – obrócili ku Jerozolimie.  
 Lwowa antychrystem nie damy!  
 Murem stanęli przed cmentarzem na Łyczakowie  
 – stąd wszystkie ścieżki, na groby Orłątek...  
 Chodzę nimi każdej nocy czarnej  
 – płacząc z paciorkami różańca.  
 Chłopczęta, młode kawalery  
 – na wesela was prosić  
 a nie do trumien kłaść  
 – głowy młode?

Z marszem weselnym do was chodzić,  
 z druhami z Rzęsny Polskiej  
 a nie z płaczem...

Suche łyzy kapią,  
 po trzykrotnie pobitych kamieniach,  
 nienawiścią ukraińców  
 – na podróżne buty...  
 Tutaj przychodził Karol z Krakowa  
 ze studentami – po cichu  
 „Wszyscy zmartwychwstaniemy!”  
 krzyże obłaskawiał  
 – do Orłąt wołał...  
 A tu jesień wczorajsza  
 – łzami niebo kapie  
 we Lwowie

(z rękopisu), XI 2017 r., Lwów




---

KRZYSZTOF KOŁTUN (ur. w 1958 r. w Chelmie), poeta i animator, który swą twórczość i pracę poświęcił Kresom. Oprócz tomów wypełnionych poezją w ostatnim czasie ukazał się tom prozy poświęcony ludobójstwu na Polakach mieszkających w okolicach Lubomla, gdzie tkwią korzenie poety. Prezentujemy wiersz, który powstał w listopadzie 2017 r. we Lwowie, przepełniony emocjami, spisany z rękopisu specjalnie dla Czytelników „Cracovia-Leopolis”.

---

Karolina Grodziska

# Pisz pan, panie Wik!

O zapomnianych wierszach Włodzimierza Lewika (1905–1962)

My, wszyscy miłośnicy *Władcy Pierścieni* Tolkiena, pamiętamy strofy pieśni, piosenek i wierszy śpiewanych i mówionych przez hobbitów, elfy, Toma Bombadila, Aragorna. Jak melodyjnie czepiają się pamięci, wracają, tkwią w nas:

*Nie każde złoto jasno błyszczy,  
Nie każdy błądzi, kto wędruje,  
Nie każdą siłę starość zniszczy,  
Korzeni w głębi lód nie skuje.*

Czy też weselszej nuty:

*Na głazie troll, samotny gość,  
Obgryzał smętnie gołą kość.  
Już parę lat tak jadł i jadł  
(O mięso było trudno  
I prудno, i mrudno) –  
W jaskini mieszkał skromnej dość,  
A o mięso było trudno.*

Zagłębeni w lekturze, pochłonięci losem Drużyny Pierścienia, mechanicznie przesuwały wzrokiem po przypisach, mówiących, że autorem tłumaczeń był Włodzimierz Lewik. Dodajmy – przekładów wspaniałych, pięknie oddających ducha oryginału, ba – świadczących też, iż tłumacz równie jak my zafascynowany był tolkienowskim światem.

Włodzimierz Lewik, urodzony w 1905 r. w Krakowie w rodzinie urzędniczej, w okresie studiów związał się ze Lwowem, gdzie też w 1926 r. debiutował jako poeta na łamach „Słowa Polskiego”, a w 1929 r. opublikował tom wierszy *Moje prowincjałki*. W tymże roku zdobył drugą nagrodę w Turnieju poetyckim, do którego 278 autorów zgłosiło 1463 wiersze. Było to faktyczne zwycięstwo, gdyż nagrody pierwszej jury nie przyznało.

W 1932 r., po ukończeniu polonistyki, uzyskał stopień doktora na podstawie pracy *Nowe rymy w świetle badań nad teorią istoty, wartości i znaczenia współdźwięków*, opublikowanej częściowo w „Pamiętniku Warszawskim”. Był członkiem Korporacji



Leopolia. Od czasu studiów współpracował z szeregiem czasopism: wspomnianym już „Słowem Polskim”, „Gazetą Literacką”, „Tęczą”, „Skamandrem” i „Wiadomościami Literackimi”, był autorem licznych reportaży, słuchowisk i recitali poetyckich dla Polskiego Radia, współpracował z Wydawnictwem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, doskonalił się w zakresie romanistyki jako stypendysta Departamentu Kultury i Sztuki (czego owocem stały się cenione przekłady z literatury rumuńskiej i francuskiej), wreszcie pracował jako redaktor w Państwowym Wydawnictwie Książek Szkolnych we Lwowie.

Tę tak ciekawie rozwijającą się karierę literacko-translatorską i wydawniczą brutalnie przerwał wybuch wojny. Włodzimierz Lewik, rocznik 1905, został zmobilizowany. Uczestniczył w obronie Lwowa, następnie, po przekroczeniu granicy rumuńskiej, został internowany. Lata wojny przyszło mu spędzić w dwóch oflagach: Dorsten i Doesel, gdzie wykorzystywał swe umiejętności

przy prowadzeniu kursów dla współwzięniów oraz przy przedstawieniach teatralnych. Po wyzwoleniu obozu wiosną 1945 r. pozostał w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec, pracując m.in. jako redaktor pisma dla młodzieży „Nasz Płomyczek”, w Polskiej Komisji Repatriacyjnej i w Konsulacie PRL w Düsseldorfie. Do Polski wrócił w 1950 r., osiadając w Warszawie, gdzie podjął pracę w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Owocnie spędził tam ponad 11 lat.

Wojna przerwała na kilka lat, następnie zaś – przeprofilowała – drogę literacką Lewika. Nie bez przyczyny jego znakomite powojenne tłumaczenia to przekłady z literatury angielskiej i niemieckiej. A więc wielcy poeci angielscy: Byron, Keats, Shelley, sztuki Oskara Wilde’a i Szekspira – ale też poezje Goethego i Schillera oraz sztuki Bertolta Brechta. Dodać do tego należy przekłady Ibsena oraz szereg opracowań, wstępów lub posłowi do klasyki angielskiej, jak też udział w dużych antologiach: *Poeci języka angielskiego* czy *Antologia poezji francuskiej*. W wielu przekładach literatury pięknej i popularnej znajdziemy tłumaczone przezeń wiersze lub motto: u Waltera Scotta, Luisa Aragona, André Maurois czy Karen Blixen. Także i wiersz *Dziesięcioro Murzyńców* ze świetnej powieści Agaty Christie spolszczył właśnie Lewik... Powszechnie lubiany i bardzo ceniony, zmarł nagle 19 X 1962 r. w Warszawie; spoczywa na cmentarzu Powązkowskim. Jego biogram, z którego czerpię powyższe dane, ukazał się w 17. tomie *Polskiego Słownika Biograficznego*.

Krakowianin z urodzenia, lwowianin z wyboru, warszawianin z powojennych perturbacji... W każdym razie jeszcze jeden wybitny przedstawiciel lwowskiego środowiska kulturalnego, wyrzucony przez wojenne czasy na daleki brzeg.

W 1962 r., gdy zmarł, o Lwowie pisać wolno było nader niewiele. Dlatego też Jan Śpiewak, publikujący w „*Twórczości*” (1963, nr 1) wspomnienie o Lewiku, nie mógł rozwinąć tematu, ograniczając się do następującej osobistej refleksji: *Dla mnie oprócz walorów osobistych i osiągnięć w dziedzinie literatury postać Lewika kojarzy się z latami studiów. To stary gmach uniwersytetu na ulicy Mikołaja, pamiętający czasy Jana Kazimierza, to okres powstawania różnych grup literackich, twórczy ferment przed uka-*

*zaniem się „Sygnałów”. Postać Lewika kojarzy mi się z wieczorami literackimi, z wrażliwą jak rzadko gdzie publicznością, chłonną na sprawy sztuki i muzyki. Po wojnie tyle razy spotykałem się z Lewikiem [...] Jeszcze nie tak dawno rozmawialiśmy o latach młodości, wydobywaliśmy z pamięci twarze przyjaciół, aby utrwalić je w myśli i w słowie.* Dodajmy, że Jan Śpiewak pozostał wierny tej przyjaźni: w 1964 r. nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się wybór wierszy i przekładów Lewika, poprzedzony wstępem Śpiewaka. W tomie tym wierszy jest jednak tylko 18, przy czym szczególną uwagę zwraca 8 liryków pisanych w obozach jenieckich.

Na trop wierszy Włodzimierza Lewika natrafiłam, pracując nad wyborem lwowskiej poezji Jana Zahradnika (1905–1929). Przez kilka lat prowadził on w „*Słowie Polskim*” rubrykę „*Wiersze*”. Pod pseudonimem „*Janek*” publikował co roku od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu drobnych, żartobliwych wierszyków, celnie punktujących zarówno bieżące wydarzenia polityczne i kulturalne, jak i lwowskie życie codzienne. Niestety postępująca gruźlica spowodowała, że rubryka zamarła. Wiosną 1929 r. pojawiła się w tym samym miejscu i kształcie rubryka „*Rymy*”, podpisana kryptonimem „*WIK*” lub „*Wik*”, pod którym ukrywał się właśnie Włodzimierz Lewik.

Nie zakorzeniła się jednak na długo. Poczynając od numeru 40 z 10 lutego 1929 r., kończąc na numerze 271 z 3 października, ukazało się 45 wierszy Lewika. Jeden z nich – *Radzono mi* – dowodzi, że autorowi niełatwo przyszła decyzja o podjęciu się zadania prowadzenia rubryki.

*Radzono mi długo,  
Nie uwierzy nikt:  
Pan opinii sługą,  
Pisz pan, panie Wik.*

*Co się stanie w świecie,  
Awantura, krzyk –  
Muzie siądź na grzbiecie,  
Pisz pan, panie Wik.*

*Gdzie tam komu smutniej,  
Gdzie kto z kasą znikł.  
Nie oszczędzaj lutni,  
Pisz pan, panie Wik.*

*Robi się pogoda,  
Pada „dyszcz” czy „śnik”,  
Któż horoskop poda,  
Pisz pan, panie Wik.*

*Komu w mieście którym  
Założono stryk.  
Dobij go pan piórem.  
Pisz pan, panie Wik.*

*Słuchałem zawzięcie –  
Co? Czy pan się „fścik”?  
Nagły zwrot na pięcie,  
Już mnie nie ma,  
Wik.*

O dolach i niedolach literata świadczy inny wiersz, *Też upiór*, dedykowany Kazimierzowi Brończykowi (1888–1968), dramatopisarzowi, wieloletniemu pedagogowi we Lwowie, członkowi lwowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

*Serce mu bije, choć kieszeń wciąż pusta,  
Marzeniem tylko karmi się, rad nie rad,  
Dla świata mowne śmieją mu się usta,  
Cóż to za człowiek – literat.*

*Myśl o zaliczce życia mu nadaje  
Że smętna bladeść na chwilę z lic znika  
Literat idzie w znajome mu kraje,  
Lubego szukać Hoesicka.*

*Tak rok po roku o jesiennej porze  
Gdy gwiazdą błysnie sezon wydawniczy,  
Literat myśli: – a przecież, – a może,  
Wzdycha, i marzy, i liczy.*

*Na próżno jednak złudzenie myśl mami,  
Serca wydawcy nie wzruszą kolędy.  
Chociażbyś wieki wystawał pod drzwiami,  
Którędy wszedłeś – wyjdź tędy.*

*Tak musi cierpieć długo, jak świat światem.  
O, jakże ciężkie są wyroki boże!  
Bo kto raz w życiu został literatem  
Temu już nikt nie pomoże.*

W przyszłym numerze „Cracovia-Leopolis” zamieścimy wybór lwowskich wierszy Włodzimierza Lewika: życie kulturalne i życie codzienne miasta przeplata się w nich z poezją i humorem. Teraz zaś – jeszcze jeden wiersz, o kunsztownej formie i żar-



tożliwej treści. Warto go zaś przypomnieć także i dlatego, że przyszyły znakomity tłumacz – Lewik – dedykuje go, po prostu, Boyowi – Tadeuszowi Boyowi Żeleńskiemu, kongenialnemu tłumaczowi literatury francuskiej. Warto zwrócić uwagę na kunsztowną wersyfikację wiersza *Kiedy człowiek...*

*Kiedy człowiek jeszcze młody  
Marzą mu się dziwne ody  
seje.*

*Chciałby wkręcić się do kina,  
W nim pokłada chęci i na  
dzieje.*

*Czuje w sobie wściekły talent,  
Że piękniejszy jest od Valent  
ina.*

*Wyrób mi protekcję, papo  
I o całym świecie zapo  
mina.*

*Marzy: Ufa, Sfinks, Fanamet,  
Oczywiście, zaraz ma met  
resę.*

*Nosi wstążkę w butonierce  
I do damy jeździ merce  
desem.*

*Lecz wiek młody bywa głupi  
Rzeczywistość gasi jupi  
tery.*

*Trzeba przestać myśleć płochu  
Wysyłając kino do cho  
lery.*

*Zmienna bowiem losu łaska  
Życie lubi czasem maska  
radę.*

*Piekłem często robi niebo  
A człowieka zwykłym chlebo  
jadem.*

Natalia Tarkowska

## Ostatni polscy mieszkańcy Kosowa

**Z**ółta, rozklekotana marszrutka sunie po stromej drodze w dół. Spomiędzy zabrudzonych zasłonek w oknach wyłania się zapierający dech w piersiach krajobraz. To tak zwany niegdyś gościniec piśtyński, z którego roztacza się najpiękniejszy widok na miasto Kosów (dziś ukr. Kosiw). Małe domki rozrzucone są po zielonej dolinie rzeki Rybnicy wciśniętej między lesiste wzgórza. To właśnie ten widok oczarował Juliusza Osterwę, zmierzającego na kurację do doktora Apolinarego Tarnawskiego. Zachwycony dyrektor Reduty miał wtedy powiedzieć: *Tak bym chciał tutaj, na tym bezludziu, zbudować dom*. Od tego czasu upłynęło wiele wody w Rybnicy, a miasto zappełniło się nowymi domami, lecz jak zwykle wracam tam, by z uporem poszukiwać śladów dawnego, polskiego Kosowa.

Dziś w Kosowie garstkę Polaków można spotkać jedynie na niedzielnej mszy świętej. Pozostało raptem około dwudziestu polskich rodzin, choć i te są już często mieszane. Kosowscy Polacy nie zrzeszają się, nie spotykają, każdy z nich kultuwyje polskość na

swój własny sposób w zaciszu domowego ogniska. Uczestnictwo w mszy odprowadzanej w języku polskim to jedyny publiczny manifest polskości, na jaki sobie pozwalają. Jedyny i dla wielu ostatni w ich życiu, bo to pokolenie powoli od nas odchodzi zabierając ze sobą do grobu namiastkę przedwojennego ducha miasta.

Kosowscy Polacy zawsze byli mniejszością. Stanowili zaledwie kilkanaście procent ogółu mieszkańców, ale to właśnie oni stworzyli mit Kosowa jako słynnego przedwojennego uzdrowiska. Zdziesiątkowani wojną, banderowskimi mordami, sowieckimi represjami i wysiedleniami, próbowali stać się niewidzialni, wtopić się w ukraińskie społeczeństwo. Bycie Polakiem nie było dobrze widziane ani przez władze, ani kolegów z pracy czy sąsiadów. O polskości mówiło się wyłącznie w domu, ale i tam nie zawsze. Ich dzieci wychowane przez sowiecki system na komsomolców, znające jedynie komunistyczne wydanie „estetyki”, niewiele obchodziły opowieści rodziców o urokliwym przedwojennym kurorcie



Pani Danusia z sentymentem przegląda elementarz Fajskiego



Polskie nagrobki na cmentarzu rzymskokatolickim w Kosowie

dla „polskich panów”. Było ich już zbyt mało, by mogli czuć się swobodnie. Nawet jeszcze dziś o wielu sprawach mówią jedynie ściszym głosem. Jedyne, co ich odróżniało od reszty społeczeństwa, to tradycja

rzymskokatolicka, jej święta, obrzędy i skrywana gdzieś głęboko na dnie serca дума z bycia Polakiem.

Odeszły już pokolenia, które zdecydowanymi ruchami wyimaginowanego pędzla odmalowałyby z pamięci szczegółowy obraz przedwojennego Kosowa. Są jeszcze nieliczni, mający młodzieńcze wspomnienia, choć najwięcej jest tych pamiętających przedwojenne miasto oczami dziecka. Bardzo trudno posklejać ten obraz w jedną spójną całość. Zszywamy go wspólnymi siłami z poszarpanych wspomnień – jak bezsilny krawiec, któremu nie staje materii. Wyszperam coś w archiwum, moi drodzy starszycy poszukają na strychach



Widok z Miejskiej Góry w Kosowie



Sobotni jarmark nad brzegiem Rybnicy

i w szufladach, ktoś coś sobie przypomni, a ktoś inny doda jakiś szczegół – tak spędzamy wiele godzin na powtarzanych co jakiś czas rozmowach. Jednak wciąż brakuje relacji świadków historii, brakuje dokumentów, brakuje rodzinnych fotografii, brakuje czegoś, co w sposób namacalny przywróci do życia wspomnienie o dawnym polskim życiu społecznym w Kosowie. Rodziny tych, którzy pozostali do dziś w miasteczku nad Rybnicą, zazwyczaj nie należały do miejscowej elity. Były to rodziny tkaczy, furmanów, ogrodników i rolników. Ich rodzice nie byli zaangażowani w życie społeczne w szerszym wymiarze, by móc opowiedzieć, jak to życie było zorganizowane, by pochwalić się pamiątkami rodzinnymi i całymi albumami fotografii. Są to zazwyczaj tylko okruczy, kilka pożółkłych zdjęć i jakiś dokument pogryziony przez myszy.

Kiedy zaczynam z nimi rozmawiać o tym, co było przed wojną, ich oczy nagle zapalają się lub gasną, głosy unoszą się lub cichną, głowy prężą się dumnie lub melancholijnie opadają. Dla jednych wspomnienia o minionym czasie są pokrzepiające, dla drugich wiążą się jedynie z nieukojonym żalem za tym, co było i nigdy nie wróci, ale mam wrażenie, że lubią te nieśpieszne pogawędki.

Najstarsi wiekiem panowie Jan i Józef, obydwoj po 90-tce, uchodzą wśród pozostałych seniorów za autorytety w sprawach polskości Kosowa. Nic dziwnego, mimo zaawansowanego wieku odznaczają się godną podziwu jasnością umysłu, fantastycznym poczuciem humoru oraz niesamowitą swadą, z jaką opowiadają o czasach swojej młodości. Mimo iż obecnie są już nieco wycofani z życia społecznego, zaszyty w domu pod opieką rodziny, zdarza się, że ich dusza zatęskni do młodzieńczych lat, a wtedy...

Pewnego razu rodzina pana Jana wpadła w panikę, ponieważ mimo przeszukania całego domu nigdzie nie znaleziono dziadka. Dopiero po kilku godzinach okazało się, że dziadek wybrał się na przejażdżkę rowerową do centrum miasta, by poczuć się jak dawniej. Kiedy wrócił, spadły na niego gromy, ale pan Jan odpowiedział tylko: *Jak Wanda może, to ja też!* Co prawda pani Wanda, koleżanka pana Jana, jest młodsza od niego niespełna dziesięć lat, ale i ona wymknęła się z domu na rowerze tuż po wyjściu ze szpitala i przeprowadzonym zabiegu na oczy. Dla niepoznaki założyła ciemne okulary i ruszyła w miasto. Niestety Kosów jest niewielką miasteczką i wieść o eskapadzie pani Wandy szybko dotarła do córki. Gdy





zdenierwowana córka zadzwoniła do mamy z pretensjami, pani Wanda powiedziała do słuchawki stanowczym i zdenerwowanym głosem jedynie dwa słowa: *Kto doniósł?!*

W takiej sytuacji błogosławieństwem są dla nich przydomowe ogródki i sady. Kosów, mimo że jest miastem, nadal zachował swój piękny rustykalny charakter. Soczysta zieleń żywopłotów okalających niemal każde podwórko i woń nagrzanych słońcem owoców – jabłoni, gruszek, śliw i winogron. To w ich zaciszu spędzają czas kosowscy seniorzy, wciąż uprawiając swoje ogródki – trochę dla zabicia czasu, trochę dla zdrowia, a trochę z przyzwyczajenia. Ci, którzy mają jeszcze siłę, zbierają owoce i jadą rowerem na wielki sobotni jarmark rozciągający swe stragany nad brzegiem Rybnicy. Przy odrobinie szczęścia wpadnie im ze sprzedaży do kieszeni kilka hrywien, które zasilą niewielki emerycki budżet. A przy okazji poobserwują ludzi, poplotkują i cicho pod nosem burkną, że to już nie te jarmarki co przed wojną. *Och, jak mie-*

*niło się w oczach od barwnych strojów huculskich, jak było gwarno i nawet orkiestry przygrywały – to bezpowrotnie przeminęło. Dziś stroje huculskie na jarmarku zobaczymy jedynie na wieszakach. Seniorów nie interesują już inne towary poza tymi, które sami chcą sprzedać. Żyją skromnie, nie kupują już niczego, chyba że huculską bryndzę zwiezioną na bazar specjalnie prosto z połonin.*

Bryndza – to słowo używane obecnie jako synonim nędzy, ale nie w Kosowie. W podgórskim miasteczku nikt nie wyobraża sobie kuchni bez tego aromatycznego owczego sera. Każda porządna przedwojenna gospodyni potrafi przyrządzić tu trzy potrawy: pierogi z bryndzą, kulesz lub banosz z bryndzą oraz gołąbki z kaszą kukurydzianą – to dania trady-

cyjne dla tego regionu. Przygotowywane są w niewielkich kosowskich piecach bez kuchni, ale za to z dawnym piecem usytuowanym w kącie głównego pomieszczenia. Smaczne i naturalne, na długo zapadają w pamięć. I właśnie pewnie tylko w takich drobnych elementach, jak przepisy przekazywane przez babcię, echa rozmów w języku polskim, nieliczne fotografie, polskie inskrypcje na nagrobkach, przetrwają ślady polskości tych rodzin. Dzieci, wnuki i prawnuki tych ostatnich Polaków w większości czują się już Ukraińcami. Co prawda zainteresowanie polskimi korzeniami wzrosło na skutek korzyści z tytułu posiadania Karty Polaka, ale od ich posiadaczy nie usłyszymy już: *jestem Polakiem/Polką*, a jedynie: *mam Kartę Polaka, moja mama/babcia była Polką*. Historia polskiego Kosowa zakończyła się w 1939 roku. Obecnie dogasają ostatnie płomienie pamięci.

*Fotografie: Natalia Tarkowska*



Michał Piekarski

# Muzyka Lwowa i Krakowa

WSPÓLNE TRADYCJE NA PRZESTRZENI WIEKÓW

W roku 2018 oprócz setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości przypadają także dwie ważne okrągłe daty w historii polskiej kultury muzycznej – 180 lat temu, w 1838 r. powołano we Lwowie Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne, 130 lat mija zaś od założenia obecnej Akademii Muzycznej w Krakowie, powstałej w 1888 r. jako Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego. Z tych dwóch instytucji burze dziejowe przetrwała jedynie uczelnia krakowska, także już po utracie Lwowa przez Polskę świadcząca o silnych związkach muzycznych między Lwowem i Krakowem.

Kraków i Lwów oddziaływały na siebie wzajemnie na przestrzeni kolejnych epok jako dwa najważniejsze ośrodki południowej Polski. Ze Lwowa wywodził się Marcin Leopolita (zm. 1589), muzyk nadworny Zygmunta Augusta na Wawelu. Z kolei z Krakowa przybył do Lwowa w pierwszej połowie XVIII w. kompozytor Jan Piotr Habermann, pełniący obowiązki kapelmistrza kościoła Jezuitów. Wymiana na polu muzycznym między obydwojmi miastami, zapoczątkowana za Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, kontynuowana była pod zaborami oraz w niepodległej Polsce.

We Lwowie początki stałej sceny operowej sięgają 1776 r. Z kolei w Krakowie pierwsza trupa operowa rozpoczęła działalność w 1784 r. Mimo to w XIX w. Kraków wciąż borykał się z problemem braku stałego zespołu operowego. Za to stałą scenę posiadał Lwów (choć sam budynek od XVIII do XX w. zmieniał się czterokrotnie), gdzie od czasu uzyskania autonomii galicyjskiej w 1872 r. zorganizowano prężnie działający polski zespół operowy (w miejsce funkcjonujących dotąd dwóch zespołów – niemieckiego i polskiego). W Krakowie regularnie występował latem zespół opery lwowskiej w latach 1879–1914 oraz w 1924 i 1930 r. Dopiero w latach 1915–1923 w miarę stały zespół zapewniło Krakowskie Towarzystwo

Operowe, powołane w tym celu przez pochodzącego ze Lwowa Bolesława Wallek-Walewskiego (będzie o nim jeszcze mowa). Na scenie krakowskiej z zespołem opery lwowskiej wielokrotnie występowała m.in. Janina Korolewicz-Waydowa (żeby wymienić choć jedno znane nazwisko), wielka diwa, ceniona potem w Operze Warszawskiej i londyńskiej Covent Garden. Dzięki regularnym występom opery lwowskiej publiczność krakowska mogła zapoznać się ze spektaklami grywanymi w całej Europie, jak i na ziemiach polskich. Do repertuaru należały dzieła kompozytorów zagranicznych jak *Lohengrin* Richarda Wagnera czy *Carmen* Georges-a Bizeta, a także *Halka* Stanisława Moniuszki czy *Rzeczpospolita babińska* Mieczysława Sołtysa. Z kolei w 1900 r. z okazji otwarcia nowo wybudowanego Teatru Miejskiego we Lwowie odbyła się z udziałem Janiny Korolewicz-Waydowej prapremiera opery *Janek* Władysława Żeleńskiego, cenionego w Krakowie kompozytora oraz współzałożyciela i wieloletniego dyrektora Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie.

Jak już wspomniano, ważnym wydarzeniem było powołanie we Lwowie w 1838 r. Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego (GTM). Zapewniać miało ono mieszkańcom Lwowa publiczne koncerty, łącząc siły profesjonalistów i amatorów. Wzorowane było na powstałym w 1812 r. w Wiedniu Towarzystwie

Prospekt organowy w katedrze łacińskiej we Lwowie, fot. autor





Opera „Rzeczpospolita babińska” M. Soltysa wystawiona w Krakowie przez zespół Operetki Lwowskiej (1905)

Przyjaciół Muzyki (Gesellschaft der Musikfreunde, późniejsze Wiener Musikverein). Towarzystwo Muzyczne w Krakowie powołano w 1876 r. na wzór lwowskiego (i wiedeńskiego). Wcześniej funkcjonowało w Krakowie (jeszcze w ramach istniejącej do 1846 r. Rzeczypospolitej Krakowskiej) powołane w 1817 r. Towarzystwo Przyjaciół Muzyki, jednak po 1824 r. jego działalność zaczęła zanikać.

We Lwowie w 1853 r. powołano Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Uczelnia powstała w związku z chęcią nadania większego profesjonalizmu koncertom GTM. Było najstarszą uczelnią muzyczną Galicji. Status konserwatorium uzyskało w 1880 r. W 1906 r. przeniosło się do nowo wybudowanej siedziby przy ul. Chorążczyzny. Stało się wzorcem dla innych tego rodzaju szkół, np. konserwatoriów w Krakowie, Stanisławowie i Czerniowcach. Kierowane było przez: Jana Ruckgabera (1853–1856), Karola Mikulego (1858–1887), Rudolfa Schwarza (1887–1899), Mieczysława Soltysa (1899–1929) i Adama Soltysa (1930–1939). Po odzyskaniu przez

Polskę niepodległości GTM działało pod nazwą Polskiego Towarzystwa Muzycznego (PTM), kontynuując tradycje zapoczątkowane w 1838 r. aż do 1939 r.

Do dyrygentów GTM należał Jan Gall (ur. 1856 w Warszawie, zm. 1912 we Lwowie), który w innym okresie był także wykładowcą w Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie. Twórczość Galla rozpowszechniła się w wielu galicyjskich domach, odpowiadała bowiem mieszczaństwu, zapewniając kompozytorowi popularność. Świadczy o tym fragment melodii pieśni *Dziewczę z buzią jak malina* umieszczony w formie dekoracji kamienicy przy ul. Retoryka 1 w Krakowie projektu Teodora Talowskiego. Sam kompozytor spoczął na cmentarzu Łyczakowskim.

Do absolwentów Konserwatorium GTM we Lwowie należało wiele postaci zasłużonych dla kultury muzycznej Krakowa i pochowanych na cmentarzu Rakowickim. Byli to m.in. Bolesław Wallek-Walewski (ur. 1885 we Lwowie, zm. 1944 w Krakowie), ceniony kompozytor (m.in. autor opery *Pomsta Jonkowa* oraz *Hymnu na cześć Lwowa*), wieloletni wykładowca i dyrektor Konserwatorium



Opera „Janek” W. Żeleńskiego grana w Krakowie przez zespół Opery Lwowskiej z udziałem Janiny Korolewiczówny (1901)

Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, Helena z Rogalskich Windakiewiczowa (ur. 1868 we Lwowie, zm. 1956 w Krakowie), pianistka i badaczka folkloru muzycznego działająca w Krakowie, Zdzisław Jachimecki (ur. 1882 we Lwowie, zm. 1953 w Krakowie), profesor muzykologii, twórca tej dyscypliny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W gronie pedagogicznym Konserwatorium GTM/PTM znaleźli się także wykładowcy, którzy kształcili muzyków w Krakowie. Do wybitnych pianistów i pedagogów należała Helena Ottawowa (ur. 1874 we Lwowie, zm. 1948 w Krakowie), która wykształcenie muzyczne zdobywała we Lwowie m.in. w Konserwatorium GTM w klasie Henryka Melcera. Umiejętności pianistyczne doskonaliła w Paryżu. We Lwowie przed I wojną światową kierowała we Lwowie własną szkołą muzyczną. Z kolei w latach 1921–1939 prowadziła klasę fortepianu w Konserwatorium PTM. Po II wojnie światowej zamieszkała w Krakowie, gdzie już w 1945 r. objęła klasę fortepianu w powołanym właśnie Państwowym Konserwatorium Krakowskim, działającym następnie pod nazwą Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej (poprzedniczka obecnej Akademii Muzycznej). W 1946 r. w Filharmonii Krakowskiej odbył się jubileusz 50-lecia pracy artystycznej Heleny Ottawowej. Wystąpiła wówczas jubilatka, grając *III Koncert fortepianowy c-moll* op. 37 Ludwiga van Beethovena. Helena Ottawowa zajęcia prowadziła do ostatnich chwil swojego życia, pochowana została na cmentarzu Salwatorskim. Z Heleną Ottawową spokrewniona była zamieszkała we Lwowie utalentowana śpiewaczka Oktawia z Rojków Praschillowa.

Absolwentką Konserwatorium GTM oraz muzykologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie była Stefania Łobaczewska (de Festenburg) (ur. 1888 we Lwowie, zm. 1963 w Krakowie), po II wojnie światowej rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie (1952–1955), a także kierownik Katedry Historii i Teorii Muzyki UJ (1953–1959). We Lwowie Stefania Łobaczewska zajmowała się propagowaniem wiedzy z zakresu estetyki muzycznej. Z kolei problemy socjologii muzyki poruszyła m.in. w Związku Literatów we Lwowie w odczycie *Muzyka jako sztuka społeczna*. Była też stałym sprawozdawcą i recenzentem „Gazety Lwowskiej” oraz warszawskiej „Muzyki”.

Do Konserwatorium PTM uczęszczała też Krystyna Moszumańska-Nazar (ur. 1924 we Lwowie, zm. 2008 w Krakowie). Po opuszczeniu Lwowa zamieszkała w Krakowie, gdzie po ukończeniu PWSM stała się cenionym kompozytorem. Zajmowała się również dydaktyką w Akademii Muzycznej w Krakowie, której została rektorem, będąc kolejną lwowianką obejmującą to stanowisko.

Z kolei z Krakowa pochodził Adolf Chybiński (ur. 1880 w Krakowie, zm. 1952 w Poznaniu), założyciel muzykologii na Uniwersytecie Lwowskim i jednocześnie współtwórca tej dyscypliny w dziejach nauki polskiej. Jego dziadek i ojciec prowadzili znany magazyn obuwia przy ul. Floriańskiej 32, a na cmentarzu Rakowickim rodzina Chybińskich posiadała okazały grobowiec. Adolf Chybiński edukację muzyczną pobierał w Krakowie prywatnie pod kierunkiem nauczyciela fortepianu Jana Drozdowskiego, profesora Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego. Po nieukończonych studiach filologicznych na UJ, w latach 1904–1908 Chybiński studiował muzykologię na Uniwersytecie w Monachium, uzyskując dyplom doktorski. Ponieważ pochodzący ze Lwowa Zdzisław Jachimecki, jego dotychczasowy kolega, a od niedawna rywal, w 1911 r. habilitował się i zapoczątkował wykłady z muzykologii na UJ, Chybiński zmuszony był opuścić rodzinne miasto i przyjąć propozycję habilitowania się we Lwowie, gdzie w 1912 r. rozpoczął na uniwersytecie wykłady z tej dyscypliny. Oficjalnie kierownikiem Katedry Muzykologii został w 1917 r., po otrzymaniu nominacji profesorskiej z Ministerstwa Wyznań i Oświaty w Wiedniu (Jachimecki w 1918 r.). Była to pierwsza w historii nauki polskiej profesura z muzykologii. Chybiński kierował Katedrą Muzykologii UJK do jej zamknięcia przez władze sowieckie na po-



Helena Ottawowa



czątku 1940 r. Nauczał też przedmiotów teoretycznych w Konserwatorium GTM i PTM (1916–1928). Adolf Chybiński, krakowianin z pochodzenia, stworzył lwowską szkołę muzykologiczną (a lwowianin Jachimecki – krakowską). Charakterystyczną cechą szkoły lwowskiej był szczególny nacisk położony na muzykologię historyczną, zwłaszcza dotyczącą badań nad dawną muzyką polską (od XV do XVIII w.). Do bardzo ważnych dokonań w tym zakresie należy zinwentaryzowanie, skopiowanie i opisanie wielu bezcennych polskich rękopisów muzycznych, w tym przechowywanych na Wawelu. Zainteresowania naukowe Chybińskiego obejmowały też etnografię muzyczną, zwłaszcza muzykę Podhala. Trzecim działem badawczym Chybińskiego była muzyka Młodej Polski, przede wszystkim twórczość Mieczysława Karłowicza, z którym po raz pierwszy spotkał się w Krakowie w 1903 r. w Grand Hotelu. Adolf Chybiński, jako zwolennik muzyki dawnej oraz muzyki nowej, interesował się zarówno kompozycjami Karola Szymanowskiego, jak i Marcina Leopolity, stając się jednocześnie popularyzatorem twórczości obydwu kompozytorów. Z Szymanowskim widywał się Chybiński niejednokrotnie we Lwowie, gdzie kompozytor bardzo często przyjeżdżał, odwiedzając także swoją siostrę Stanisławę Korwin-Szymanowską. W spotkaniach tych nieraz brał udział zaprzyjaźniony z obydwoma Adam Softys. We Lwowie mieszkała także uczennica Szymanowskiego Stefania Lachowska (ur. 1898 we Lwowie, zm. 1966 w Krakowie), absolwentka Konserwatorium GTM, związana potem z Krakowem. W okre-

sie międzywojennym Adolf Chybiński stał się jednym z najważniejszych autorytetów w środowisku muzycznym Lwowa. W 1944 r. ostatecznie opuścił Lwów, przerażony zwłaszcza okrucieństwem ukraińskich nacjonalistów. Po II wojnie światowej został kie-

rownikiem Katedry Muzykologii Uniwersytetu Poznańskiego.

Do absolwentów muzykologii na Uniwersytecie Lwowskim należało też niemałe grono osób aktywnie potem związanych z życiem muzycznym Krakowa. Oprócz wspomnianej już Stefanii Łobaczewskiej należała do nich pierwsza absolwentka lwowskiej muzykologii Bronisława Wójcikówna, zam. Keuprulian (ur. 1890 we Lwowie, zm. 1938 w Warszawie), która studia ukończyła w 1917 r., zostając następnie wieloletnią asystentką prof. Chybińskiego. Ich drogi rozeszły się ostatecznie, gdy Wójcikówna zaczęła się ubiegać o habilitację na UJK, ostatecznie uzyskując ją w 1934 r. na UJ. W ten sposób z asystentki prof. Chybińskiego stała się współpracownikiem jego rywal prof. Jachimeckiego. Na UJ Bronisława Wójcik-Keuprulian w latach 1935–1938 prowadziła zajęcia poświęcone zagadnieniom: melodyki, etnografii muzycznej, muzyki ormiańskiej oraz stylu w twórczości Chopina. Zajęcia tego rodzaju, zwłaszcza dotyczące muzyki ormiańskiej, stanowiły wówczas całkowite novum.

Kolejnym asystentem prof. Chybińskiego był wykształcony i wyświęcony w Krakowie ks. Hieronim Feicht ze zgromadzenia Misjonarzy (ur. 1894 w Mogilnie, zm. 1967 w Warszawie). We Lwowie kształcił się w Konserwatorium PTM, ukończył też studia muzykologiczne na UJK, w ciągu kolejnych lat stając się najbliższym współpracownikiem Chybińskiego. Utrzymywał też bliskie kontakty ze swoim dawnym nauczycielem Bolesławem Wallek-Walewskim, który przez kolejne dziesięciolecia prowadził chór kłerycki w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy na Stradomiu. Ks. Feicht prowadził badania nad dawną muzyką polską, towarzysząc nieraz Chybińskiemu w pracach nad muzykami Wawelu. W Krakowie przed 1939 r. ks. Feicht działał przez szereg lat jako dyrektor Gimnazjum Księży Misjonarzy, wykładowca Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy oraz Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego. Po II wojnie światowej został zatrudniony w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Absolwentem lwowskiej muzykologii i asystentem prof. Chybińskiego był też Jan Józef Dunicz (ur. 1910 we Lwowie, zm. 1945 w Dorze k. Nordhausen), który wraz ze

swoją siostrą Heleną (ur. 1915 w Wiedniu) uczęszczał do klasy skrzypiec Konserwatorium PTM. Po II wojnie światowej Helena Dunicz-Niwińska przez wiele lat pracowała w Krakowie w redakcji szkolnictwa muzycznego Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

Z Krakowem i Lwowem (zarówno w latach młodości, jak i w dorosłym już życiu) związany był Roman Palester (ur. 1907 w Śniatynie, zm. 1989 w Paryżu), polski kompozytor pochodzenia żydowskiego. Kształcił się w zakresie gry na fortepianie w Turce nad Stryjem oraz w Krakowie (1919–1921). W latach 1921–1925 mieszkał we Lwowie, gdzie uczęszczał do gimnazjum, a edukację muzyczną zdobywał w Konserwatorium PTM. W 1925 r. Palester rozpoczął studia z zakresu historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Równocześnie kształcił się w Państwowym Konserwatorium Muzycznym w Warszawie. W 1937 r. na zamówienie Wystawy Światowej w Paryżu powstała dla Polskiego Baletu Reprezentacyjnego folklorystyczna muzyka sceniczna *Pieśń o ziemi* do libretta i muzyki Palestra według pomysłu Leona Schillera. W 1938 r. *Pieśń o ziemi* wystawiono w Teatrze Wielkim w Warszawie. Lwów był drugim, po Warszawie, polskim miastem, w którym w 1938 r. Polski Balet Reprezentacyjny przedstawił *Pieśń o ziemi*, następnie spektakl pokazano w Krakowie. Palester ponownie zamieszkał we Lwowie w latach 30., gdzie piastował stanowisko kierownika muzycznego teatrów miejskich. Po II wojnie światowej Roman Palester stał się znanym polskim kompozytorem działającym początkowo w Krakowie (m.in. jako profesor kompozycji w PWSM latach 1945–1947), a od 1947 r. na emigracji w Paryżu. Z tego powodu w PRL przez dłuższy czas było zabronione publiczne wykonywanie jego utworów.

Z Krakowa pochodził jeden z najsłynniejszych lwowskich organistów okresu międzywojennego. Michał Woźny (ur. 1902 w Spytkowicach k. Wadowic, zm. 1990 w Krakowie) był Absolwentem Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie w klasie organów Bernarda Rizziego. W latach 1926–1945 pełnił obowiązki organisty największego we Lwowie kościoła św. Elżbiety (projektu Teodora Talowskiego), posiadającego z kolei największe organy w przedwojennej Polsce. W kościele św. Elżbiety prowadził też chór



Zapis nutowy pieśni „Dziewczę z buzią jak malina” J. Gała na kamienicy przy ul. Retoryka 1 (prof. T. Talowski), fot. autor

i dawał cieszące się uznaniem w całym mieście koncerty organowe. W 1946 r., po zamknięciu kościoła św. Elżbiety i przymusowym opuszczeniu Lwowa, przez szereg lat pełnił obowiązki organisty katedry na Wawelu. Mówiąc o organach warto też wspomnieć lwowską fabrykę organów Jana Śliwińskiego, który zbudował lub przebudował instrumenty dla wielu galicyjskich kościołów, m.in. katedry łacińskiej we Lwowie i kościoła franciszkanów w Krakowie (prospekty tych instrumentów wykazują duże podobieństwo).

Różnego rodzaju pozostałości wielowiekowego dziedzictwa wspólnej kultury muzycznej Lwowa i Krakowa zachowały się do dzisiejszych czasów. Trafiamy na nie niejednokrotnie, obserwując choćby architekturę budynków związanych z wykonywaniem muzyki (np. inskrypcje GTM na gmachu we Lwowie czy wspomniana kamienica przy ul. Retoryka), a także odwiedzając cmentarze w obydwu miastach. W związku z omówionymi długimi tradycjami warto, aby przypadające w tym roku okrągłe rocznice stały się okazją do przypomnienia wkładu Lwowa w kulturę muzyczną zarówno Krakowa, jak i całej Polski. Nie bez powodu przecież Lwów na początku XX w. nazywano „najmuzykalniejszym z polskich miast”.

Artykuł powstał na podstawie książki autora: *Muzyka we Lwowie. Od Mozarta do Majerskiego. Kompozytorzy, muzycy, instytucje*, Fundacja Dziedzictwo Kresowe, Warszawa 2017 (wydana także w 2018 r. przez Wydawnictwo Akademickie Sedno).

# Odszedł Bolesław Opalek (1925–2018)

**23** stycznia 2018 r. w Rzeszowie odbył się pogrzeb lidera rzeszowskich Kresowian śp. Bolesława Opalka. W powyższym określeniu nie ma słowa przesady. Pan Opalek założył w Rzeszowie Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa w styczniu 1989 r. (rok wcześniej powstał TML we Wrocławiu jako pierwszy w Polsce, w 1992 r. przekształcony w Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich). Niestrudzenie kierował Rzeszowskim Od-

gkiem – ostatnim dyrektorem Szkoły im. św. Marii Magdaleny we Lwowie, do której uczęszczał również jego syn – Bolesław, a także znanym lwowskim bibliofilem, literatem, autorem znanych wówczas książek, aktywnym organizatorem życia kulturalnego we Lwowie. Po wojnie, dzięki staraniom syna, Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał starannie opracowaną publikację autorstwa Mieczysława Opalka zatytułowaną *Ze wspomnień lwowskiego bibliofila*.



fol. Wiesław Opalek

działem TMLiKPW aż do połowy 2017 r., kiedy to poważna choroba uniemożliwiła mu dalszą pracę. Tylko przez jedną czteroletnią kadencję z powodu choroby Bolesława Opalka organizacją rzeszowską kierował śp. mgr inż. Mikłuszko. Często mawia się, że nie ma ludzi niezastąpionych... Kiedy Bolesław Opalek nie mógł już kontynuować pracy w TMLiKPW, nikt nie zdecydował się, by go zastąpić. W takiej sytuacji Oddział Rzeszowski TMLiKPW został rozwiązany.

Pan Bolesław Opalek urodził się 7 kwietnia 1925 r. we Lwowie, na Łyczakowie. Pochodził ze znanej lwowskiej rodziny, która od początku XIX stulecia związana była ze Lwowem. Jego dziadek Józef walczył w powstaniu styczniowym, a Mieczysław Opalek, ojciec pana Bolesława, był cenionym peda-

Przez dziesięciolecia Bolesław Opalek w ramach działalności w TMLiKPW zapraszał na systematycznie organizowane w Rzeszowie spotkania, dyskusje, imprezy artystyczne przedstawicieli ruchu kresowego z całego kraju. Nie żałował swego czasu na udział w krajowych zjazdach, konferencjach gromadzących Kresowian, podczas których podejmował w dyskusjach trudne problemy Kresowian.

W środowisku rzeszowskim uważany był za „chodzącą żywą encyklopedię” wiedzy o ludziach i sprawach ukochanego Lwowa. Chętnie dzielił się swoją wiedzą i doświadczeniem, gdy zwracano się do niego z prośbą o wyjaśnienia rozmaitych wątpliwości. Udzielał też wywiadów dla radia i prasy. Wprowadził zwyczaj uczestnictwa w pogrze-

bach odchodzących na wieczną wartość członków TMLiKPW. Dopóki starczało sił, dbał o to, by w listopadowe święto zmarłych na grobach rzeszowskich Kresowian zawsze zapłonęły znicze.

Cieszył się wielkim zaufaniem w kręgach osiadłych w Rzeszowie Kresowian, którzy przez dziesięciolecia powierzali mu odpowiedzialne stanowisko prezesa oddziału, słusznie wierząc, że właśnie Bolesław Opałek potrafi pokierować stowarzyszeniem wygnanych. Wszyscy zdawali sobie doskonale sprawę, że funkcja prezesa jest wyjątkowo trudna i odpowiedzialna. Podstawową trudność stanowiło to, że rzeszowski TMLiKPW (podobnie jak wszystkie stowarzyszenia kresowe w kraju) pozbawiony był stałych dotacji finansowych i żeby cokolwiek zrobić, musiał utrzymywać się ze składek swoich członków i tylko sporadycznie mógł liczyć na pomoc ze strony samorządów.

Dzięki wielkiemu zaufaniu, jakim się cieszył prezes Opałek, otrzymywał sporadycznie dotacje od osób prywatnych z kraju i zagranicy, przeznaczone na pomoc dla rodaków, którzy pozostali na Kresach. Darczyńcy nie mieli wątpliwości, że każda złotówka zostanie wydana zgodnie z ich intencją. Rok w rok przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocą wyjeżdżał do Lwowa, by osobiście przekazywać pomoc najbardziej potrzebującym. Oczekiwano na pana Bolesława nie tylko na wysłannika z lepszego świata. Podziwialiśmy prezesa za te zwykle parodniowe wyjazdy, które kontynuował z zadziwiającą ofiarnością mimo zaawansowanego wieku i rozmaitych, niesprzyjających okoliczności.

Kiedy starsze panie, które prowadziły księgowość rzeszowskiego oddziału TMLiKPW rozchorowały się i wycofały z tej społecznej pracy, prezes Opałek nie wahał się ani chwili, opanował zasady rachunkowości i sam aż do 2017 r. prowadził księgowość oddziału. Dzięki jego przedsiębiorczości rzeszowska organizacja mogła pozyskiwać skromne środki między innymi z odpisów 1% przekazywane przez podatników.

Przez lata dał się też poznać jako bardzo solidny pracownik, pełniący także funkcje kierownicze w Polskich Zakładach Zbożowych, Centrali Nasiennej, w oddziale rzeszowskim Lubelskich Zakładów Przemysłu Tłuszczowego, w końcu w Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie. Tam pełnił funk-

cję kierownika administracji i walnie przyczynił się do rozwoju tej placówki, pozyskując dla niej zabytkowy XVIII-wieczny budynek.

Obdarzony doskonałą pamięcią, bardzo interesująco opowiadał o znanych ludziach Lwowa, których poznał, gdy odwiedzali jego rodziców, o problemach rodzinnego Lwowa, w końcu o II wojnie światowej i swym udziale od 1943 r. w konspiracji i zbrojnym wystąpieniu lwowskiej AK w lipcu 1944 r. w akcji „Burza”. Jako członek AK pan Bolesław Opałek ps. „Żbik” i żołnierz plutonu „Świtez” – z karabinem w ręku brał udział w opanowaniu miasta zawsze wiernego. W ręce NKWD wpadł kilka tygodni później pod Sarzyną, gdy oddziały AK podjęły trud marszu z pomocą powstańczej Warszawie.

Całe życie był gorącym patriotą. Jako członek Światowego Związku Żołnierzy AK niemal do końca swych dni uczestniczył we wszystkich patriotycznych manifestacjach, a nade wszystko z okazji świąt narodowych – 11 listopada i 3 maja.

Był człowiekiem, który swoją postawą i postępowaniem wzbudzał zaufanie i szacunek. Wielka szkoda, że nie spotkamy już wyprostowanego, zawsze elegancko ubranego starszego pana, który był w Rzeszowie postacią powszechnie znaną, popularną i szanowaną. Jego udział w walce o Polskę oraz praca na rzecz Ojczyzny zostały docenione przez władze RP, które uhonorowały go m.in. Medalem Wojska, złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem II Obrony Lwowa, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, odznaczeniem Akcji Burza, odznaczeniem Weteran Walk o Wolność i Niepodległość, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Bolesław Opałek zmarł w wieku 93 lat. Osierocił dwóch zamieszkałych w Rzeszowie synów, którzy opiekowali się ojcem w ostatnich miesiącach życia, i duże grono wnuków i prawnuków, którzy po ukończeniu studiów założyli rodziny i osiedlili się w różnych miastach kraju, przede wszystkim w Krakowie.

Będzie nam bardzo brakowało pana Bolesława Opałka, który nie tylko dla osiadłych w Rzeszowie wypędzonych ze wschodu był godnym reprezentantem utraconego polskiego Lwowa. Będziemy zawsze o Nim pamiętać!

*Zbigniew Wawszczak*

# Grafika lwowska

Prezentujemy część obszernego opracowania przygotowanego przez Sławomira Bołdoka *Lwowskie środowisko plastyczne*. Książka nie doczekała się jeszcze swego wydawcy, ale za zgodą autora prezentujemy Państwu jej obszerne fragmenty. (jmp)

Zanim grafika nowoczesna pojawiła się we Lwowie na początku XX wieku, w mieście tym robiono drzeworyty, a litografia lwowska miała oparcie w działalności oficyn wydawniczych klanu Pillerów i Zakładu im. Ossolińskich. Szerzej na ten temat pisali Mieczysław Opalek i Andrzej Banach. Zwłaszcza opracowania M. Opalka dotyczące *Litografii lwowskiej i Drzeworytu w czasopiśmie polskich XIX stulecia* są cennym źródłem dla poznania nazwisk autorów i wykonawców, których ze względu na ich ilość, nie mogłem umieścić w indeksie.

Warto tutaj wspomnieć o drukarni Antoniego Pillera, *typografia gubernialnego Jego Cesarskiej Mości i drukarza*

*uniwersyteckiego*, która funkcjonowała od 1772 do 1939 r. Z czasem synowie i następcy Antoniego Pillera, prócz drukowania, zajęli się sprzedażą książek i rycin, a w 1822 r. powiększyli swoje zakłady o litografię. W tej pracowni zatrudniali zawodowych litografów, spośród których Opalek wyróżnił Karola Auera jako prawdziwego artystę. Liczne luźne odbitki i albumy autorstwa zawodowych artystów oraz amatorów, które wychodziły spod pras pracowni litograficznych – Pillerów i Zakładu Ossolińskich – przyczyniły się do zainteresowania grafiką. Miejscowych przede wszystkim ciekawiły lwowskie weduty i krajoznawstwa z okolic oraz portrety własne lub znamienitych osób. Większość

rycin od lat 30. XIX wieku, w drzeworycie i litografii, pełniła funkcje ilustracji w wydawanych wówczas czasopiśmie, takich jak „Lwowianin” i „Dziennik Mód Paryskich”. W latach 1848–52 pojawił się we Lwowie „Przyjaciel Dzieci”, tygodnik wydawany przez Ossolineum, a założony i redagowany przez Franciszka Ksawerego Beldowskiego, który nie tylko do niego pisywał, ale i ilustrował własnymi drzeworytami.

W pierwszych latach XX wieku dotarła do Lwowa echa Młodej Polski, ze znacznym opóźnieniem w stosunku do innych środowisk w Polsce. W specyficznej atmosferze owego czasu we Lwowie rozwijała się dekoracyjna grafika Kazimierza Si-



Plakat Stanisława Batowskiego

chulskiego, Władysława Jarockiego i Odo Dobrowolskiego, którzy uprawiali techniki metalowe i litografię. W ich pracach przeważała tematyka miejska i huculスカ. Podobnie, w duchu secesji, wyglądała po 1918 r. twórczość starszych malarzy-grafików: Antoniego Markowskiego, Marii Opolskiej, Stefana Kacprrowskiego, Rudolfa Mękickiego, Józefa Pieniążka, Wandy Korzeniowskiej, Kazimierza Łotockiego, Marii Huthowej, Józefy Kratochwili-Widymskiej i Henryka Krzyżanowskiego. W czasie gdy tutejsi tworzyli ryciny w tym stylu, artyści Krakowa i Warszawy rozwiązywali już inne, nowsze problemy sztuki. Jedną z głównych cech nowej grafiki było odchodzenie od dekoracyjnej



malarskości na korzyść syntezy i ekspresji. Charakterystykę środowiska grafików lwowskich w latach 1904–1939 oraz działalność Związku Lwowskich Artystów Grafików od 1933 roku opisała Irena Rylska.

Nauczanie technik graficznych we Lwowie w okresie dwudziestolecia międzywojennego odbywało się w kilku miejscach. Był w 1929 r. zorganizowany kurs linorytu i drzeworytu w Miejskim Muzeum Przemysłowo-Artystycznym, który prowadził dla kilkunastu osób Ludwik Tyrowicz junior. Grafiki i rysunku uczono także od 1931 r. na Wydziale Ogólnym Politechniki Lwowskiej, gdzie studentów kształcili: Tadeusz Błotnicki, Władysław Jarocki i Władysław Lam.

Kursy grafiki we własnej pracowni organizował okresowo Antoni Markowski, nestor grafików lwowskich, dobry technik, ogłaszający się m.in. w „Kulturze Lwowa”: *Z dniem 1 grudnia 1932 roku został otwarty Kurs Grafiki Artystycznej. Lito-grafia-Kwasoryt-Drzeworyt, pod kierownictwem artysty-malarza Prof. Antoniego Markowskiego. Bliższych szczegółów udziela Prof. A. Markowski, Lwów, ul. Zadróżańska 17.*

Jednak najważniejszym miejscem szkolenia grafików były zajęcia prowadzone przez Ludwika Tyrowicza juniora. Ten uczeń Skoczylasa w warszawskiej ASP, którą ukończył w 1926 r., w latach 1930–39 pełnił funkcję wykładowcy i kierownika Pracowni Rysunku i Grafiki w Państwowej Szkole Przemysłowej we Lwowie przy ul. Snopkowskiej 47. Ucząc we Lwowie Tyrowicz popularyzował grafikę, a szczególnie drzeworyt wśród miejscowego społeczeństwa i artystów. Efektem jego oddziaływania było m.in. przejście w 1932 r. Wandy Korzeniowskiej od techniki metalowych do drzeworytu lub w ogóle zarzucenie malarstwa sztalugowego dla grafiki, jak zrobiła to Maria Huthowa. Drzeworytnikami

we Lwowie zostawały przede wszystkim osoby z młodszego pokolenia, w większości uczniowie Tyrowicza: Zygmunt Acedański i jego żona Irena Nowakowska-Acedańska, Wacław Brejter, Helena Konopacka, Janina Nowotnowa czy Aniela Rafałowska-Wzorek.

Kolejnym efektem skupienia sił przez grafików w latach trzydziestych było założenie Związku Lwowskich Artystów Grafików, formalnie w listopadzie 1933 r., a faktycznie w kwietniu 1934 r. Związek grupował grafików lwowskich ze starszego i młodszego pokolenia w liczbie 17 osób. Związkowi przewodniczył Ludwik Tyrowicz junior, a w skład zarządu wchodził: Józef Pieniążek – wiceprezes, Janina Nowotnowa – sekretarz, Maria Huthowa – skarbnik, Józefa Kratochwila-Widymaska – prasa i biblioteka, Antoni Markowski i Henryk Krzyżanowski – członko-

wie zarządu. Siedzibą Związku był lokal w Muzeum Jana III Sobieskiego na Rynku w tzw. kamienicy Królewskiej. Głównym celem związku było podniesienie poziomu grafiki, ścisła selekcja wystawianych prac i propagowanie sztuki graficznej wśród społeczeństwa oraz za granicą. Lwowiacy wystawiali we Francji



Ludwik Tyrowicz, „Śniadanie na trawie”

w 1935 r., we Florencji w 1935, w Wiedniu w 1936 r., gdzie zakupiono niektóre prace do zbiorów Albertiny. Związek organizował pokazy prac członków przede wszystkim na miejscu. Ożywioną działalność w tym kierunku prowadzono poprzez wystawy na Salonach Wiosennych, Letnich i Jesiennych, okazjonalną sprzedaż rycin na kiermaszach gwiazdkowych lub za pośrednictwem subskrypcji wspólnie z dziennikiem „Słowo Polskie”. Ceny rycin były umiarkowane, przeciętnie 5–10 zł za odbitkę. Prowadzona była także sprzedaż komisowa w sklepie „Dar” przy ul. Akademickiej, z 15% rabatem przy zakupie. Jeszcze jednym miejscem prezentacji grafiki, gdzie pokazy były zmieniane co

miesiąc, był jeden z pokoi w popularnej we Lwowie cukierni Ludwika Zalewskiego przy ul. Akademickiej 22.

Także w wielu miejscowościach Polski organizowano ekspozycje grafiki, m.in. w Przemyślu, Poznaniu, Lublinie. Poprzez objazdowe wystawy po uzdrowiskach południowo-wschodniej Polski – w Krynicy, Truskawcu i in. próbowano promować ryciny, ale frekwencja na tych imprezach była niska i niewiele prac sprzedano. Związek Lwowskich Artystów Grafików starał się także zaznajamiać mieszkańców Lwowa z grafiką z innych ośrodków w Polsce, głównie z Warszawy i Krakowa, a także z podobną sztuką z zagranicy. We Lwowie odbyły się wystawy: w 1934 r. *Grafiki Szwedzkiej*, w 1935 r. *Grafiki Węgierskiej*, w 1936 r. *Grafiki Hiszpańskiej* a w 1937 r. pokazano kolekcję rycin japońskich.

Niewątpliwym wydarzeniem dla członków Związku i dla lwowian była zorganizowana w styczniu 1937 r. w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Plastycznych duża wystawa grafiki, w której wzięło udział 17 miejscowych twórców prezentując 182 ryciny, niejako w konfrontacji z odbywającą się w tym samym czasie i miejscu ekspozycją współczesnej grafiki francuskiej. Ważny był również udział w 1939 r. w pokazie sztuki współczesnych artystów lwowskich, jaki się odbył w salach Instytutu Propagandy Sztuki w lutym w Warszawie. Ta ekspozycja spotkała się z pochlebną opinią Konrada Winklera, który uznał, że grafika lwowska przewyższyła jakościowo prace warszawiaków ze Stowarzyszenia Polskich Artystów Grafików Ryt, na których, swego czasu, lwowiaczy się wzorowali.

Najchętniej w lwowskiej grafice w okresie dwudziestolecia XX wieku podejmowano tematykę pejzażową, zawierającą często motywy miejscowej architektury oraz sceny rodzajowe z licznymi wątkami huculski-

mi. Tutejszych grafików charakteryzowało równoległe uprawianie rozmaitych metod warsztatowych. Przykładem może być Ludwik Tyrowicz junior, który choć był członkiem Rytu preferującym drzeworyt – tworzył także delikatne i malarskie akwaforty.

Kiedy już jesteśmy przy tematyce graficznej, nie można pominąć działalności artystów w dziedzinie grafiki reklamowo-użytkowej. Na ulicach Lwowa mieszkańcy spotykali się z plakatami lokalnych artystów i twórców z innych miast Polski. Pod koniec dziewiętnastego i w wieku dwudziestym rozmaite osoby – malarze, graficy, czasem architekci – próbowali we Lwowie swych sił w plakacie oraz w komercyjnej grafice. Rozwijające się miasto, a w nim przemysł, handel i usługi, potrzebowało rozmaitych form

reklamy. W latach secesji Lwów, obok Krakowa, wysunął się na czoło w promowaniu i projektowaniu grafiki reklamowej w Polsce. We Lwowie duże zasługi na tym polu położył Marian Kazimierz Olszewski współtworząc Towarzystwo Sztuki Stosowanej „Zespół” i własną agencję reklamową. Jako teoretyk sztuki pro-



Antoni Markowski, „Dzwonnica w Karpatach”

pagował ściśle powiązania sztuki z produkcją przemysłową i dawał temu wyraz m.in. w reklamie. W 1913 r. wydał ilustrowany prospekt reklamowy swojej pracowni grafiki użytkowej „Rozgłos”, która to pracownia mieściła się we Lwowie w Instytucie Technologicznym przy ul. Bourlarda 5. Prospekt podawał przykłady wykonywanych plakatów reklamowych, etykiet, formy ogłoszeń reklamowych (inseraty) oraz znaków firmowych wg projektów Olszewskiego, w stylu modernistycznym. Podane były również ceny, np. wykonanie plakatu litograficznego kosztowało: szkic – 25 koron, wykonanie plakatu – od 90 koron.

Nie on jeden odpowiedział na zapotrzebowanie przemysłu i handlu. Podobną działalność prowadził Wilhelm Ludwik Rudy

we własnej pracowni graficznej „Styl”, która działała w latach 1911–1914 przy ul. Halickiej 21 na 4 piętrze w domu dra Bałabana. Przypomnę, o czym było wyżej, że twórczość plakatową w tym czasie uprawiali malarze, m.in. Stanisław Dębicki, Józef Wodyński, Kazimierz Sichulski i Feliks M. Wygrzywalski.

Po odzyskaniu niepodległości, obok prac twórców lokalnych, pojawiło się we Lwowie więcej plakatów artystów z innych stron Polski. Źródłem informacji o tym fakcie jest album Anny A. Szablowskiej i M. Seńkiw *Plakat polski*. Miejscowe i państwowe władze wkładały wiele wysiłku w popularyzację organizowanych corocznie Międzynarodowych Targów Wschodnich, a kierownictwo Targów zwracało znaczną uwagę na wizualną propagandę tej imprezy. W tym celu co roku nowe plakaty projektowali od 1921 r. znani twórcy: Stanisław Kaczor-Batowski, Władysław Skoczylas, Kazimierz Sichulski, Tadeusz Gronowski i inni.

Inne potrzeby bieżące społeczności lwowskiej zaspakajały rozlepiane afisze anonsujące: imprezy patriotyczne jak np. *Wystawa obrony Lwowa 1918–1919*, inseraty wyborcze, afisze organizowanych zawodów automobilowych, powtarzanych we Lwowie wielokrotnie, takie jak np. *Międzynarodowy Wyciąg Płaski we Lwowie* w 1929 r. Ukazywały się liczne afisze sportowe i komercyjne reklamujące restauracje, kina, teatry, sprzedaż herbaty, maszyny do szycia, kasy oszczędnościowe, drukarnie, antykwarjaty książkowe, loterie, sprzedaż kalendarzy, rowerów „Łucznik” z radomskiej Fabryki Broni lub anonsujące, jak plakat Janiny Siutówny (Rybickiej) *Wystawę Gwiazdkową urządzoną staraniem Towarzystwa Przyjaciół Wydziału Sztuk Zdobniczych Państwowej Szkoły Technicznej we Lwowie, ul. Snopkowska 47*. Ukazywały się też liczne afisze liternicze anonsujące rozmaite wykłady samokształceniowe, o których wspomniano wcześniej. Ciekawostką i znakiem minionych wydarzeń we Lwowie są w albumie Szablowskiej i Senkiw dwa plakaty nieznanymi twórcami z okresu tzw. „pierwszych Sowietów” czyli z lat 1939–1941. Są to: dwujęzyczny ukraińsko-polski afisz informujący o otwarciu *Wystawy malarstwa i grafiki artystów z Moskwy i Leningradu* we wrześniu 1940 r. w budynku Miejskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego przy ul. 1 Maja 20 (przed

1939 r. była to ul. Hetmańska) oraz z tego samego roku, po polsku, plakat wyborczy do władz Ukraińskiej Republiki Radzieckiej *Oddamy swe głosy na najlepszych ludzi naszej ojczyzny!*

Na przełomie wieków XIX i XX i w latach dwudziestych styl większości lwowskich plakatów, projektowanych przez siły miejscowe, jak i artystów z innych regionów Polski wywodził się z dekoracyjnej ornamentyki secesji lub był powiązany z r malarstwem ealistycznym. Wyjątkiem były prace podobne do plakatu Józefa Wodyńskiego z 1913 r. *Wystawa Futurystów, Kubistów w salach lwowskiego TPSP*. Układy graficzne, bardziej współczesne, operujące blokową czcionką i syntetycznym ujęciem, prezentowali albo architekci, którzy często budowali formę plakatu wykorzystując układy typograficzne, jak np. Zygmunt Harland w afiszu *Wystawy Związku X Plastyków* w 1929 r. czy w *Salonie Wiosennym TPSP w Pałacu Sztuki* albo malarze związani z awangardą, jak Otto Hahn projektujący afisz lwowskiej wystawy Artesu w 1930 r. Podobny sposób kreacji wykazywały prace wybijających się miejscowych grafików reklamowych Henryka Piotra Munda i Kazimierza Manna. Mund operując czytelną i syntetyczną formą wykorzystywał również efekty barw, co widać na jego afiszu z roku 1927 *Wystawy kartonów dekoracyjnych Henryka Munda* w MURPA i w innych pracach. Kazimierz Mann na plakatach sportowych jest bardziej malarski. Obaj graficy zresztą w połowie lat trzydziestych przenieśli się do Warszawy, gdzie mieli większe możliwości działania.

Generalnie plakat polski, łącznie ze lwowskim, po połowie lat dwudziestych czerpał wiele inspiracji z zagranicy, zwłaszcza z Francji i coraz częściej prezentował się w stylizacji art-deco.

Na koniec rozważań o plakacie lwowskim warto podkreślić, że już w okresie secesji w Miejskim Muzeum Przemysłu Artystycznego zaczęto gromadzić plakaty krajowe i zagraniczne. Kolekcja, która rozrosła się z latami i szczęśliwie dotrwała do dziś, obejmuje kilkanaście tysięcy afiszy, często egzemplarze, których nie ma w obecnych zbiorach polskich. W jej skład wchodzi również plakaty zagraniczne: Jules Chereta, Alfonsa Muchy i Henryka Toulouse-Lautreca oraz autorów z innych krajów europejskich.

# Stanisławów w wierszach profesor Ewy Nawrockiej

## *Fotografia z Wenecji*

Czas wytrawił kolory.  
Blednie czyjaś żółta sukienka  
spłowiły lazur nieba wiotczeje.  
To ja  
ta dziewczyna złota od uśmiechu  
w aureoli świetlistych włosów  
z gołębiami u ramion  
na Piazza di San Marco  
w Wenecji.  
Byłam tam, byłam na pewno  
z Tante Lilli Geib, moją cioteczną babką,  
wdową po pastorze w Bydgoszczy  
zamordowanym przez faszystów.  
Rozmawiałyśmy o Stanisławowie  
gdzie ja się urodziłam, a ona była szczęśliwa.  
Tu, w sercu Wenecji wracała jej umarła

młodość

i nazwy miasteczek wschodniej Galicji  
jak egzotyczne potrawy:  
Nadwórna, Jaremcze, Worochta,  
Sambor, Husiatyn, Kamionka Strumiłowa...  
Umarłe słowa, umarłe miasta,  
pogrzebany czas.

Byłam w Wenecji – niczego nie pamiętam,  
Tylko to ostre słońce, gołębie u ramion,  
Tłum falujący na Piazza di San Marco  
i słowa, słowa, słowa  
mojej ciotecznej babki  
Tante Lilli Geib z domu Merk.

*W Wenecji byłam we wrześniu 1965 roku,  
krótko przed wielką powodzią.*

## *Stanisławów*

Mama mówiła: nie chcę tam wrócić  
w domu obcy ludzie, ogród zaniedbany,  
nie odnajdę śladu Ewy, przekopany cmentarz  
skrył pamięć o grobach.

A ja wiem, że czeka na mnie  
tajemnica dzieciństwa.

Muszę ją sobą przemierzyć,  
sprawdzić, czy sny nie kłamią.

Są tam wąskie kręte uliczki,  
gdzie wąsaci sprzedawcy rozdają kukurydzę  
i kasztany o nieznanym mi smaku.  
Słońce odbija się w kopule złoconej fary,  
a środkiem strumień płynie brukowanym  
korytem.

Woda w nim czysta –  
Ilekczo próbuję sięgnąć do niej dłonią  
sen maści obraz.

Wrócę tam, choć mówią,  
że żaden strumień tam nie istniał  
i miasto też  
być przestało.

Gdańsk 1977

\* \* \*

*Stanisławów był dla mnie zawsze tylko  
słowem, istniał wyłącznie w opowieści, a wła-  
ściwie w opowieści rodziców, babci, ciotek,  
wujków, stryja, przyjaciół i znajomych rodzi-  
ców i nie opuszczał mnie nigdy... – wspo-  
minała na łamach „Przeglądu Politycznego”  
profesor Ewa Nawrocka, urodzona w Sta-  
nisławowie w 1942 roku.*

Z księgi adresowej miasta wiemy, że jej  
ojciec Mieczysław był asesorem rady szkol-  
nej, a matka Cecylia z domu Czerwińska –  
nauczycielką. Mieszkali przy ulicy Sedelma-  
jerowskiej, córka Ewa w rozmowie uzupeł-  
nia, że niedługo przed wojną przenieśli się  
na ulicę Szopena, która do dziś zachowała  
swoją dawną nazwę. To właśnie w Stani-  
sławowie Mieczysław rozpoczął przygodę  
ze sceną, gdzie przez wiele lat występował  
jako aktor w amatorskim zespole Teatru im.  
Aleksandra Fredry, a później Teatru im. Mo-  
niuszki. Z pasją malował również portrety  
i krajobrazy miasta.

W 1945 roku państwo Nawroczy z reszt-  
ką swojego dobytku opuścili Stanisławów  
i trafili do Gdańska, gdzie zastali morze



gruzów. Nie porzucili jednak zniszczonego miasta, ale zakorzenili się tu i zostali na długie dziesięciolecia. Część bliskich sercu pamiątek udało się im przewieźć i ozdobić nimi gdańskie mieszkanie.

Ewa Nawrocka dorastała w zupełnie innej rzeczywistości niż jej rodzice. W nowej Polsce zabroniono mówić o ziemiach utraconych, pamięć ta jednak żyła w domach dawnych jej mieszkańców. Ojciec, który z oddaniem włączył się w organizację życia artystycznego na Wybrzeżu, opowiadał córce o przedwojennym teatrze i odgrywał fragmenty sztuk. Matka wspominała nieistniejące już nazwy ulic i związane z nimi wydarzenia. Do ich domu od czasu do czasu przyjeżdżali z całego kraju starzy znajomi.

Udało się także nawiązać kontakt z rozsianą rodziną w Polsce i za granicą. Na spotkanie z cioteczną babką Lilli Geib, która swoją młodość spędziła w Stanisławowie, Ewa Nawrocka wybrała się niedługo po ukończonych studiach. Wspólnie spędzony czas zainspirował ją do napisania wiersza pt. *Fotografia z Wenecji*. Mijały lata, a w snach zaczęła widzieć jakieś piękne miasto, podobne do tych z krajów południowych z *wąskimi uliczkami, rwącym strumieniem*. Po jakimś czasie wiedziała już, że to był *Stanisławów* i taki właśnie tytuł nadała drugiemu wierszowi.



Mieczysław Nawrocki podpisał: „Mój skarb Ewunia. Rok 1943”. Źródło: zbiory E. Nawrockiej

W roku 2001 – już jako profesor filologii – udało się jej odwiedzić miasto swojego urodzenia. *Na miejscu – jak pisała – okazało się, że wróciłam.*

*Opracował: Jarosław Krasnodębski*

**Sławomir Gowin**

# Leonek Samogonek

*czyli prawdziwa historia pewnych płynów  
spożywanych we Lwowie*

Żył kiedyś, przed wojną, w pięknym mieście Lwowie pan Leonek Samogonek – birbant i światowiec. Jak naprawdę się nazywał, nikt już nie pamiętał, wszyscy go Leonkiem zwali – zwłaszcza zaś dziewczęta.

Co się tyczy drugiej części owego przezwiska, to, podobnie, stoi za nią sprawa nieco śliska, gdyż niejedna panna innej szeptała do ucha, że z owego Samogonka jest kawał świntucha.

Względem niewiast był to bowiem nadzwyczajny śmiałek, przy nim lwy – te spod ratusza – to kocięta małe! On potrafił zbałamucić najwierniejszą żonę, chociaż sam był przypominał ledwie lwi ogonek.

Cóż kobiecie, ona przecie wie już od dziewczątka, że ogonek to dopiero początek zwierzątka. Złap za ogon – nawet szczenię groźnie sierść najeża. Można zatem po ogonku dojść grubego zwierza.

Nasz bohater był na oko chuchro i pokraka, ale wiedział najważniejsze: grunt dobrze bałakać! Gdy się w krąg Leony kręca i prężą muskuły, o Leonku damy mówią: „Brzydal... Ale czyły!”

Choć nad losem tego miasta czuwają srogie lwy Batiarnia mogła włosy rwać i lwie wylewać łzy, bo dla matron i dziełatek, zwłaszcza zaś małżonek, nic się w życiu nie liczyło, tylko on, Leonek!

Słychać było jak po nocach wył gatunek męski, bo pograżał się w rozpaczny świadom swojej kłęski. Aż ktoś rzucił myśl przewodnią zgoła oczywistą: „Trzeba ściągnąć na Leonka jakąś moc nieczystą!”

Uradzili, że najlepiej, wzięwszy na odwagę, o fachową prosić pomoc lwowską Babajagę. Ta nieufnie ich przyjęła, lecz gdy wysłuchała, dla Leonka – jak to baba – całkiem oszalała.

Szła przez rynek w głos zlorzcząc na czarcich notabli: „Dłużej wam nie będę służyć, niech was wszyscy diabli! Choćbyście mnie mieli nagą chwostami batożyć, zapragnęłam mieć Leonka i się z nim rozmnożyć!”





Oj, zdrząła o swe losy cała czarcia szajka.  
„To poważna sprawa – rzekli – a nie byle bajka.  
Trzeba jakoś pohamować to babsko bezczelne,  
nie wywyższy się Leonek nad moce piekielne!”

Szatan zaklął nań siarczyście: „Durna Babajago,  
zrychtujemy ci, ty zgago, czarcie figo-fago!”  
I dał jej świeżutkie ciało i usta czerwone  
by po chwili, płonąć żądzą, dopadł ich Leonek.

Gdy już całkiem się, nieszczęsny, zatracił w buziakach  
z cudnej bini wnet wylazła piekielna pokraka,  
a gdy w końcu mu w objęciach została kostucha,  
w głos zaszlochał nasz Leonek i wyzionął ducha.

Wtedy diabli się rzucili urwać łeb kostusze,  
by w zaklęte to naczynie schwytać jego duszę.  
Potem wrzeszcząc do księżycy podrzucali czaszkę,  
a o świcie duszę z czaszki przelali we flaszkę.

W końcu diablo umęczeni flaszkę opróżnili  
i nad losem potępieńca ciut się zamyślili:  
„Marnie skończył król niewieści. Taki był Leonek!  
Jak trafiła mu się jęzda – został Samogonek!”

Z opowieści tej nie morał, lecz płynie morałek,  
że ów krzepki płyn stworzono dla smakoszy ciałek.  
Z dobrych duchów czart go pędzi i zaklina w płynie.  
Zatem gdyś już trochę wypił – przyjrzyj się dziewczynie...

*Tekst o Leonku napisany został dla Lwowskiego Kabaretu Artystycznego „Czwarta Rano” (autor podpowiada, by zbyt często nie mylić z ćwiartką rano), który swą stałą siedzibę znalazł w teatrze lalkowym. Utwór zaprezentowany zostanie w programie poświęconym „lwowskiej ćmagii”, czyli opowieści o różnych „ćmagicznych” przygodach, które we Lwowie (ale i w Krakowie także) każdego mężczyznę o przedłużonym okresie dojrzewania mogą spotkać. Premiera „ćmagicznego” programu kabaretowego przewidziana jest na koniec czerwca 2018 r. Bilety pewnie można już rezerwować. A my, na łamach kwartalnika „Cracovia-Leopolis”, do tematu „ćmagii” będziemy jeszcze wracać.*

# Bestialstwo UPA pod Lubomlem na Wołyniu

Książka **Bestialstwo UPA pod Lubomlem na Wołyniu**, autorstwa Krzysztofa Kołtuna, jego dużym wysiłkiem i ogromnym zaangażowaniem, wydana została w końcu 2016 roku przez lubelskie Wydawnictwo Norbertinum. Stanowi zbiór 41 opowiadań – relacji świadków ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu. Tematyka wspomnień dotyczy obszaru położonego niedaleko, tuż za graniczną obecnie rzeką Bug. Opisano w niej tragiczne, wstrząsające i traumatyczne przeżycia ludzkie, przyporządkowane terytorialnie do miejsc, po często nieistniejących dzisiaj wioskach, które zniknęły z powierzchni ziemi – spalone często razem ze swoimi mieszkańcami, świątyniami i zabudowaniami. Często nawet z wykarczowanymi sadami owocowymi (zgodnie z zaleceniem prowidu OUN o bezlitosnym zacieraniu wszelkich śladów polskości na tej ziemi).

Spisane relacje można podzielić na 3 grupy: po pierwsze tragiczne wspomnienia naocznych świadków z okrutnej rzezi Polaków, po drugie współczesne relacje z ekshumacji i ponownych pochówków po latach, i po trzecie opowiadania stanowiące legendy upamiętniające zatracony klimat dawnego Wołynia z jego kulturą, wierzeniami, obyczajami i tradycjami. Jest to niezmiernie cenne, wręcz unikatowe uzupełnienie w zestawieniu z tragicznymi relacjami ludzi – mieszkańców dawnego Wołynia.

## UKAZANY BEZMIAR I GROZA LUDOBÓJSTWA... PORAŻA

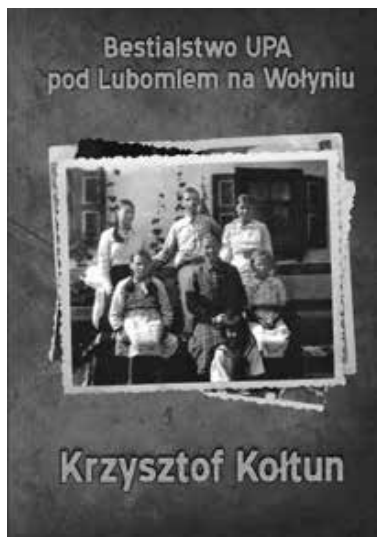
Współczesna pustka Wołynia, smutne ugory niegdyś uprawnych pól, ciągnące się kilometrami przy samej głównej szosie do

Lubomla dziwne kępy krzaków i chaszczce w miejscach po wymordowanych i spalonych wioskach – dają nieme wyobrażenie o bezmiarze ludzkiej tragedii.

Powszechna wiedza historyczna na temat „rzezi wołyńskiej” była i jest dalece niewystarczająca, ale dziś – z perspektywy minionych lat – staje się to wyłumaczone: bezwzględna, podła i cyniczna cenzura komunistyczna okazała się w tym względzie jeszcze skuteczniejsza niż wobec Katynia, ale też skala ukraińskiego okrucieństwa została po wielokroć przekroczona ponad wszelkie wyobrażenie.

Relacje spisane zostały w oryginalnej gwarze ludowej, stanowiącej mieszaninę językową języka polskiego w potocznej odmianie ludowej (odbiegającej od poetyckiego, literackiego języka polskiego), typowej dla Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, są także liczne fragmenty w języku chachłackim, będącym lokalną gwara miejscową, opartą na języku tzw. tutejszym, czyli rusińskim. Są także liczne wtrącenia w językach

rosyjskim, żydowskim, czeskim i niemieckim, czyli prawie pełny przegląd mieszaniny językowej narodów zamieszkujących ówczesny Wołyń, w latach drugiej wojny światowej bestialsko zniszczony i spalony przez banderowskich zbirów. Trzeba przyznać, że w związku z tą osobliwością czytanie zaprezentowanego tekstu nastęrcza pewnych trudności, stanowiąc zwłaszcza dla młodego pokolenia istotną trudność językową. Dlatego korekta edytorska tego dość obszernego tekstu okazała się... dużym wyzwaniem. Przeżycia i doznania związane z czytaniem zebranych relacji stanowiły wstrząsające doświadczenie, pomimo





dobrego zahartowania posiadaną wiedzą naukową o opisywanej rzezi, często już po przeczytaniu 30–40 stron tekstu stan emocjonalny niebezpiecznie dryfował na granice bezdroży obłądu.

W recenzowanej książce przywracane są do pamięci narodowej historyczne nazwy polskich wsi na Wołyniu, po których tylko czasem zostały miejsca (najczęściej jako mniejsze lub większe chaszczce), opisywane na współczesnych mapach jako uroczyska o swojsko brzmiących nazwach: Ostrówki, Wola Ostrowiecka, Jankowce, Kupracze, Terebejki, Kąty, Kokorawiec, Bliźnice, Zamostecze, Piotrówka, Przekurka, Sawosze, Binduga, Bystraki. Są także miejscowości, które ostały się banderowskim pochodom, choć utraciły bardzo wiele ze swej dawnej świetności: Kisielin, Borki, Sztuń, Czmykos, Nowiny, Rymacze, Jagodzin, Luboml. Są też przytoczone nazwy miejscowości ocalonych, ale istniejących obecnie pod zmienionymi nazwami i ze znacznie ograniczoną zabudową, takie jak na przykład: Opalin (dzisiejsza Вишнівка), Wilczy Przewóz (dzisiejsze Старовойтове), Rakowiec (dzisiejsze Пририччя). Jednocześnie trzeba podkreślić, że dokonane na tym terenie zmiany w strukturze etnicznej są ogromne! Pociągnęło to za sobą nieuniknioną w takim przypadku degradację cywilizacyjną – ziemię dotychczas rozwijającą się gospodarczo stały się swoistą pustynią. Zmiany były nierównoważnie większe niż w jakimkolwiek innym regionie Polski dotkniętej gehenną drugiej wojny światowej.

Relacje są autentycznymi przywołaniami historii, często występują powtórzenia wobec poszczególnych wsi – pokazane z różnej perspektywy kilku świadków, bo trzeba wskazać, że na szczęście przeżyli świadkowie tego bezprzykładnego ludobójstwa, którzy zechcieli dać świadectwo prawdzie, mimo traumas wspomnień tkwiących pod powiekami i w głębi umysłu oraz duszy. Podobnie osobliwe są tytuły każdej relacji, jak wyjątkowy i niepowtarzalny jest każdy człowiek, tak jak różni byli ludzie doświadczeni przeżyć – zapierających oddech i odbierających zmysły. W zależności od ogromu doznanych przeżyć oraz od indywidualnych predyspozycji osobowych, poszczególni świadkowie różnie opisują swoje przeżycia, jedne są lakonicznym przekazem przeżytych zdarzeń, a inne są szczegółową i często bardzo emocjonalną relacją z widzianego na własne oczy bestialstwa zwyrodniałych sadystycznych zbrodniarzy.

Smutną prawdą jest to, że o polskim Wołyniu ciągle trzeba przypominać. Przypominać i pamiętać, bo niewinne ofiary naszych Rodaków potrzebują szczerego wspomnienia – tak samo jak potrzebują uczciwego upamiętnienia i... w większości przypadków – godnego pochówku. Natomiast niezbywalnym obowiązkiem żyjących potomnych jest, by pamiętać, kultywować i przekazywać kolejnym pokoleniom tę tragiczną pamięć, pozostawiając kwestię wybaczenia komu innemu – na sądzie ostatecznym.

Jacek Jarosław Gaj

## PRAWO RZYMSKIE NA LWOWSKIM UNIWERSYTECIE

Ukazała się ciekawa książka, która wzbogaca wiedzę o nauce lwowskiej w latach międzywojennych (ściślej o dziedzinie prawniczej na Uniwersytecie Jana Kazimierza), zatytułowana ***Prawo rzymskie na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w okresie międzywojennym (1918–1939)***, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015. Nadesłała nam ją autorka, dr Renata Wiaderna-Kuśnier, wykształcona na UMCS w Lublinie,

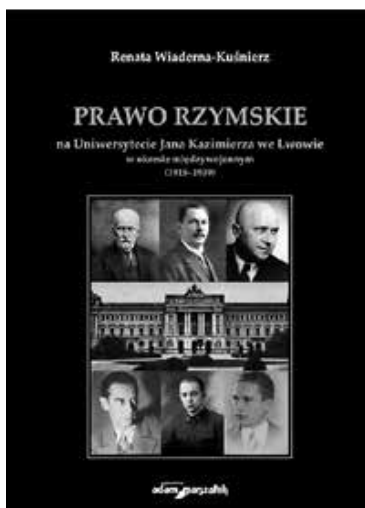
a na „lwowskie tory” skierowana przez prof. Marka Kuryłowicza, dziś działająca naukowo w Akademii Pomorskiej w Słupsku, zainteresowana nadal lwowską szkołą *romanistów*. Z góry trzeba zaznaczyć, że omawiana książka nie jest przeznaczona dla przeciętnego czytelnika, ma bowiem charakter ściśle naukowy, wymagający dobrej orientacji ogólnej w temacie. Dlatego też poruszamy zawarte w niej zagadnienia skrótowo.

Książka jest obszer-  
na, liczy prawie 520  
stron, lecz właściwy tekst  
to 420 stron. Reszta to  
aneks, m.in. z bogatym  
zestawem fotografii, za-  
łącznikami itd. Podsta-  
wowy tekst składa się  
z pięciu rozdziałów, oma-  
wiających poruszane za-  
gadnienia w sposób dro-  
biazgowy.

Rozdział I omawia  
prawo rzymskie na tle  
Wydziału Prawa na Uni-  
wersytecie Lwowskim  
(jeszcze nie UJK) do  
1918 roku. Wydział ten  
został utworzony w 1784  
roku, a prawo rzymskie wykładane  
w języku polskim znalazło się tam – po  
licznych perypetiach – w r. 1867. Z katedrą  
prawa rzymskiego był związany Józef Zie-  
lonacki oraz Leon Piniński (marszałek Ga-  
licji 1898–1903), Marceli Chlamtacz i kilku  
innych uczonych.

Rozdział II zajmuje się Zakładem Prawa  
Rzymskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza  
(1918–1939) w różnych aspektach, a więc:

- profesorów – byli nimi w pewnych okre-  
sach Leon Piniński, Marceli Chlamtacz  
i Waław Osuchowski;
- asystentów – w pewnych okresach  
Edward Gintowt, Adam Wojtunik, Mie-  
czysław Wojnar – później zostali profes-  
sorami na innych uniwersytetach. Poza  
nimi z Zakładem byli związani stypen-



dyści: Adam Treszka  
i Wiktor Budzyński.  
i inni.

A. Treszka, wywie-  
ziony przez sowietów  
do łagru, po zwolnieniu  
działał w ambasadzie  
polskiej w ZSRR. Dzia-  
łał tam aktywnie, a m.in.  
udało mu się zorganizo-  
wać transport polskich  
dzieci z Kazachstanu do  
różnych krajów europej-  
skich. W końcu osiadł  
w Anglii i z czasem zo-  
stał prezesem Koła Pol-  
skiego w Londynie. Tam  
także wydawał kwartalnik  
„Lwów i Kresy”.

W. Budzyński miał inklinacje artystyczne.  
Już jako student założył teatrzyk, tworzył  
rewie, liczne skecze i piosenki. Wreszcie  
w 1933 r. założył sławna audycję „Wesoła  
Lwowska Fala”, która cieszyła się ogromnym  
powodzeniem w całym kraju. W czasie  
wojny wraz z zespołem znalazł się w Anglii  
i Szkocji, potem w Monachium, wiążąc się  
z Radiem „Wolna Europa”.

Rozdział III daje informacje o nauczaniu  
prawa rzymskiego na UJK: wykłady, pod-  
ręczniki, seminaria, ćwiczenia, egzaminy.

Rozdziały IV i V omawiają biografie oraz  
dorobek naukowy profesorów i asystentów  
Zakładu. Temat twórczości wymienionych  
osób omawiany jest ponownie w rozdziale  
*Bibliografia*.

*Andrzej Chlipalski*

## Atlantyda wg Chciuka

*Ten pamiętnik z okresu dojrzewania, ten  
podręcznik geografii serdecznej jest skrzącą  
się od humoru, zapachów, kolorów i detali  
opowieścią o rodzinnym mieście Andrzeja  
Chciuka i jego szczeniących latach, o junackich  
przygodach (gdyż każdy jest dumy, jak  
je młody sztuk!), o codziennym życiu miesz-  
kańców przedwojennego Drohobycza. Miasta  
Brunona Schulza, Kazimierza Wierzyńskie-*

*go, Iwana Franki oraz generałów Stanisława  
Maczka i Michała Tokarzewskiego, którzy  
uczyli się w tej samej budzie bardzo milej.  
Miasta, w którym każdy operował bałakiem,  
wspólnym dla całej Małopolski Wschodniej,  
gdyż – jak stwierdza autor – Lwów jest je-  
dynie dalszym przedłużeniem Drohobycza,  
a Drohobycz dalszym przedmieściem Lwowa,  
naturalnym przedłużeniem.*

*Te wypisy o kraju lat dziecinnych, o Rubikonie-Tyśmienicy, o kolorycie, o ludziach i sprawach, o stylu i krajobrazach, których już nie ma i jakich nie można już dziś w pełni odczuć i zrozumieć, o potopie, którego wody niestety ciągle dziś nie ustępują... – pozwalają poczuć powiew przedwojennego, wielokulturowego miasteczka.*

Mamy do czynienia ze wspomnieniami urzekająco i mistrzowsko napisanymi, na miarę *Szczenięcych lat* Melchiora Wańkowicza. Na dodatek bardzo ładnie i symbolicznie spotykają się trzej wybitni pisarze: Chciuk, Schulz i Wańkowicz, za sprawą publikacji, gdyż wspomnienia tego pierwszego są wzbogacone o zdjęcie między innymi okładki pierwszego wydania (z 1933/34 r.) debiutanckiej książki jego gimnazjalnego profesora rysunku, Brunona Schulza. *Sklepy cynamonowe* z okładką według projektu autora ukazały się bowiem w założonym i prowadzonym z powodzeniem przez M. Wańkowicza i M. Kistera Towarzystwie Wydawniczym „Rój”. Na tym choćby przykładzie łatwo zobaczyć, że wydawnictwo Wańkowicza i Kistera wniosło niemały wkład w rozwój polskiej literatury.

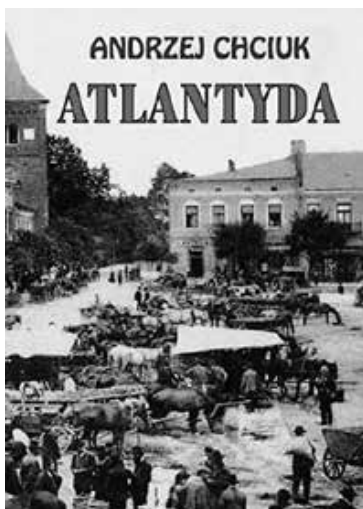
Andrzej Chciuk spisał swoje wspomnienia na przełomie lat 1966 i 1967 na dalekich Antypodach. Kiedy mu zakiełkował ten pomysł, *był wigilijny wieczór australijskiego lata, gorący grudzień, upał wtedy ciekł z nieba, a choinka w kącie czuła się nieswojo*. Chciał utwalić szum swojej młodości, wyłowić choćby *kontur ruin zatopionej Atlantis*, zanotować dla potomnych urodę bałaku, opisać *szkandały* i tragedie, które wstrząsały Drohobyczem w okresie jego młodości, uwiecznić swoją rodzinę, sąsiadów, kolegów z ławy szkolnej, czyli *drohobyckich chłopców z placu Broni*, i nauczycieli, w tym oczywiście Brunona Schulza. Powstała niezwykle wzruszająca, zabawna oraz pełna miodopłynnej mądrości *książeczka o przyładku dobrej nadziei*.

Ze swadą *bałika* do nas Andrzej Chciuk na temat rozwoju gospodarczo-społecznego przedwojennego Trójmiasta: Borysławia będącego prawdziwym zagłębiem naftowym, Drohobycza, który był swoistą siedzibą administracyjną ze swoimi rafineriami i pałacami, oraz Truskawca, który zapewniał nutoworszym wypoczynek i zdrowie. Opowiada o codziennej egzystencji w tych miastach ludzi różnych narodowości i wyznań bez mitologizowania, ubarwiania i słodzenia, gdyż *nie było owo Księstwo Bałaku wyłącznie jakąś Arkadią, pełną wiecznej szczęśliwości i uroku. Nędza czasem tu aż skwierczała*. Dlatego autor wspomnień apeluje: *nie bajerujemy się barwikiem i perspektywą wspomnień, które wszystko uróżniają i przemeblowują proporcje na milusie i ślicznusie*. Zatem można zawierzyć pisarzowi, zaufać mu, ponieważ starał się, o czym sam wielokrotnie wspomina, ukazać prawdziwy wizerunek Księstwa Bałaku. Uświadamia nam jednak zarazem, że pamięć czasem może zawodzić, dlatego krytycyzm i czujność należy zachować.

Książka *Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku* Andrzeja Chciuka (1920–1978) ukazała się po raz pierwszy w Londynie w 1969 roku nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. To był debiut Andrzeja Chciuka. Druga, krajowa, edycja została przez wydawnictwo LTW z Łomianek bardzo starannie przygotowana. Zawiera wkładkę z archiwalnymi zdjęciami pokazującymi przedwojenny Drohobycz i okładki pierwszych wydań (rzecz jasna emigracyjnych) książek Andrzeja Chciuka, który w swoich gimnazjalnych latach był uczniem Brunona Schulza. Wydanie zamyka przypomnienie przez Jerzego Pileckiego sylwetki autora wspomnień. Na okładce mamy zaś rekomendacje Mariana Hemara i Mariana Kukiela.

*Beata Bednarz*

*Wszystkie cytaty pochodzą z książki Andrzeja Chciuka wydanej w 2015 roku przez LTW.*



# Latyczowska Madonna

Ośrodek „Wołanie z Wołynia” przysłał swą kolejną pozycję wydawniczą (to już 123. tom!) napisaną przez Marię Dębowską pt. **Matka Boża Latyczowska na Wołyniu**. Z niewielkiej książki (ok. 60 stron) poznać można różnorodne i sensacyjne dzieje cudownego obrazu Matki Bożej Latyczowskiej na przestrzeni kilku wieków: od około 1600 do 1920 r., gdy przebywał w Latyczowie na Podolu, oraz od 1920 r. w II Rzeczypospolitej do czasów współczesnych. Po ustaleniu granic państwowych w 1920 r. obraz przewieziony został z Latyczowa do Warszawy i tam miał pozostać. Ale po tajemniczym przewiezieniu go w grudniu 1930 r. z Warszawy do Lubomla na Wołyniu przeznaczony został do remontowanego wówczas głównego ołtarza w katedrze w Łucku. Ostatecznie w Łucku obraz przebywał tylko 10 lat, od 1935 do 1945 roku. Po zakończeniu II wojny światowej, także w tajemnicy, został przewieziony z Łucka do Lublina. I tam już pozostał. Pierwotnie był pod opieką zakonnice ze Zgromadzenia Służek NMP Niepokalanej, od 2014 r. jest



czczony w nowym kościele pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej w Lublinie.

*Danuta Trylska-Siekańska*

---

## Kainowe dni

Ośrodek „Wołanie z Wołynia” wydał w 2016 roku książkę Wincentego Romanowskiego pt. **Kainowe dni** zawierającą wspomnienia autora z jego pobytu i działalności na Wołyniu w latach II wojny światowej. Wincenty Romanowski był żołnierzem Armii Krajowej. Przedstawił fakty, wydarzenia, miejsca, daty i nazwiska osób związanych z tym, co się działo na ziemi wołyńskiej. Jako bezpośredni świadek w sposób wiarygodny przedstawił martyrologię Polaków okrutnie mordowanych przez ukraińskich nacjonalistów. Książka jest niełatwa w odbiorze, bo zawiera szczegółowe opisy zbrodni. Zawiera też opisy potyczek, bitew między oddziałami polskiej partyzantki a oddziałami UPA. Autor uczestniczył w powstawaniu struktur polskiej partyzantki – 27 Wołyńskiej Dywizji Armii



Krajowej. W książce podał szereg pseudonimów i nazwisk, dając przez to cenny materiał historyczny. Autorowi towarzyszy cały czas uczucie umiłowania rodzinnej ziemi wołyńskiej i ludzi, z którymi tam mieszkał, w konfrontacji z tym, co widział osobiście

w latach 40. XX wieku. Na końcu zadaje pytanie czy on, który przeżył koszmar, ma prawo przebaczać mordercom w imieniu tych, którzy nie przeżyli.

*Danuta Trylska-Siekańska*

## Rzecz o „polskim Gaudim”...

Krakowski artysta Tadeusz Bystrzak wydał arcyważną i niezmiernie ciekawą książkę – dla niektórych będzie to album – zatytułowaną **Talowski** (Kraków 2018). Rzecz – pisana pasją i sercem – poświęcona jest „polskiemu Gaudiemu”, czyli Teodorowi Marianowi Talowskiemu, który na przestrzeni 25 lat twórczej zawodowej aktywności architektonicznej i pedagogicznej pozostawił po sobie prawie 200 obiektów, w tym ponad 80 obiektów sakralnych, a żył zaledwie 53 lata. Niewątpliwym walorem książki jest jej dwujęzyczność. Tekst edytowany jest równoległe w języku polskim i angielskim, co pozwala na jej lekturę obcokrajowcom odwiedzającym Małopolskę, ale i coraz częściej Lwów i okolice, obecnie na Ukrainie. Wstępem książkę opatrzyli wybitni znawcy architektury – prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko, prof. dr hab. arch. Jan Kurek i dr Zbigniew Beiersdorf.

Projektowane przez Teodora Talowskiego budowle rozsiane są przede wszystkim po całej Małopolsce (w tym dawnej Małopolsce Wschodniej), Podolu – czy jak tam kto chce: Galicji, a także Chorwacji. Oczywiście największe skupisko zrealizowanych projektów architektonicznych znajduje się w Krakowie (choćby kamienice przy ul. Retoryka czy Karmelickiej) i chyba najbardziej znane jego dzieło we Lwowie – kościół pw. św. Elżbiety.

W tych miastach spędził życie. I choć zmarł we Lwowie 1 maja 1910 r., to po uroczystościach pogrzebowych w zaprojektowanym przez niego kościele pw. św. Elżbiety pociągiem przewieziony został do Krakowa, gdzie spoczął na cmentarzu Rakowickim.

Autor zbierając materiały do książki dotarł do wszystkich budowli (także do tych miejsc, gdzie stały nieistniejące już obiekty), natrafił na rysunki projektów, korespondencję Talowskiego i mnóstwo fotografii. Swym entuzjazmem pobudzał ludzi, z którymi się zetknął podczas kwerend terenowych czy archiwalnych, wzniewał ich zainteresowanie osobą Talowskiego, o którym niewiele wiedzieli. Tak się też dzieje przy lekturze książki, podczas oglądania wykonanych przez autora fotografii współczesnych i zestawienia ich ze zdjęciami archiwalnymi.

Duma roślinie, gdy podziwiamy prace konserwatorów dbających o detaliczne odtworzenie zniszczonych budowli Talowskiego i serce się kraje, patrząc na to, co stało się z wieloma budowlami, głównie na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Przewracając ostatnią kartę albumu Bystrzaka, wiem już, że dzięki tej książce nigdy obojętnie nie przejdę i nie przejadę obok, jakże charakterystycznych, budowli Teodora Talowskiego.

*Janusz M. Paluch*



# W pogoni za pomysłami

Czegoś takiego jeszcze nie było! Restauracja przy zachowaniu wszystkich reguł – a więc pełnej tajemnicy – łoża masońskiej. Bez żadnych szyldów, napisów, że w tym miejscu znajduje się lokal gastronomiczny. Śladu informacji! I to gdzie? We Lwowie!!! W starej kamienicy przy Rynku Głównym nr 14. W samym sercu miasta, gdzie sporo knajpek. A ta, tylko dla wtajemniczonych, z klubową kartą w ręku. Super wytworna!

Mam sentyment do Kresów, bo sam stamtąd pochodzę, bywałem wiele razy we Lwowie, ale w tej restauracji jeszcze nie byłem, bo ją niedawno otwarto. Opowiedzieli mi jednak o niej moi przyjaciele, którzy nie kryli zaskoczenia niezwykłością, z jaką tam dotarli i co przeżyli. W oparciu o te relacje, a także dzięki powszechnej łączności z naszym przecież ongiś Lwowem, warto zatem chwilę tej inicjatywie poświęcić. Zwłaszcza że w całej gastronomii, w ramach konkurencji, trwa swoista pogoń za pomysłami. A ten naprawdę jest niezwykły.

Już sama nazwa zapewnia sławę: „Najdroższa restauracja Galicji (Masońska)”. Niby trudno wiedzieć, gdzie się znajduje, ale wszyscy o niej wiedzą. Wchodzi się z kartą, którą można sobie wyrobić w innych restauracjach czy hotelach po wypełnieniu krótkiej ankiety. Bez opłaty. Rozdają ją również przewodnicy zagranicznych wycieczek

turystycznych. Tuż obok, w uroczej kawiarence „Kopalnia Kawy”, też na Rynku Głównym, można ją otrzymać. Bez dokumentu nie wejdzie się bowiem albo ewentualnie zapłaci wysoką cenę: 200 hrywien za kawę, 300 za zupkę, 500 za sałatki, 1000 za drugie danie. To majątek, ale klubowa karta zapewni 90-procentową zniżkę i wszystko wraca do normy! Ta niespodzianka czeka nas wewnątrz, ale na przód trzeba do „Masońskiej” trafić.

Na pierwszym piętrze identyczne drzwi do kilku mieszkań, bez żadnych wizytówek. Tylko jedno, na kolejne pukania, się otworzą. A w nich starszy pan w piżamie i szlafroku. Goście się cofają, ale gospodarz zaprasza do środka, a nawet na kieliszek wódeczki. Oprowadzi po miłym, w starym stylu utrzymanym mieszkaniu. I dopiero wtedy skieruje do właściwego wejścia. I wtedy następuje szok. Olbrzymia, superelegancka sala, kilkadziesiąt stolików, pełno gości. Restauracja o wysokim standardzie, kelnerzy w czerni i białych koszulach. Karta zgodnie z nazwą z astronomicznymi cenami! Do momentu płacenia! Atrybuty masońskie – włącznie z zabawnym „Tronem Wielkiego Mistrza Łoży” w... toalecie! Ponoć autentycznym!

Z Ukrainą, nie tylko w historii, ale i ostatnio, trudno nam się układa. Interesujące, że właścicielem „Najdroższej Restauracji” jest ta sama firma, która przed laty zorganizowała całą sieć nawiązujących do nacjonalizmu restauracji pod nazwą „Kryjówka”. Stylizowanych pod UPA, z portretami Bandery, z bronią na ścianach. Wchodziło się do tych lokali po podaniu hasła „Sława Ukrainie”. Swego czasu pisałem o „Kryjówkach”

również w „Polityce”. I oto obecnie ten sam właściciel uruchamia restaurację pod kątem dawnych tradycji, bo za polskich czasów (!) Lwów miał przecież mocną masonerię! A zatem coś z zupełnie innej beczki, do tego samego piwka i wódeczki!

O zmianie nastrojów w tamtejszych stronach jeszcze dobitniej świadczy inny fakt. Z mojego rodzinnego, zawsze tolerancyjnego Stanisławowa, zwane-go dziś Iwanofrankiwskiem.





Również z terenu gastronomii. Właściciel kawiarni „Profitroli” – Wołodmyr Iwanyszyn, przed swoim lokalem, na chodniku ulicy do dziś zwanej Belwederską, postawił piękny pomnik Ignacemu Kamińskiemu! Ukraińiec upomniał się o polskiego burmistrza, wielkiego patriotę, który po ogromnym pożarze w 1868 roku odbudował miasto i rządził nim przez 20 lat! Za naszych czasów jego imieniem nazwano tylko ulicę. A teraz, przy jego naprawdę pięknym pomniku, od rana do późna wieczora pełno, bo to najlepsza kawiarnia i cukiernia w mieście! A w dodatku można sobie przy pomniku zrobić zdjęcie z Kamińskim. Jak w Łodzi z Tuwimem na ławeczce przy ulicy Piotrkowskiej.

U nas również nie brakuje oryginalnych pomysłów, zwłaszcza w czasie wakacji, kiedy otwierają namioty i różne tarasy nad brzegami, a na rzekach restauracje-statki. Konkurencję wygrywa się wszakże głównie tym co na stole. Sztuką kulinarną. Z całego świata plus nasze rodowite pomysły. I oczywiście obniżką cen! U „Szwejka” w Warszawie tradycyjnie, raz w tygodniu, za cenę jednej dostaje się dwie golonki. Tuż obok na Marszałkowskiej, w stynącej dostawami świeżych ryb prosto z Mazur „U Rysia”, codziennie jedna z potraw jest za pół ceny. Od krewetek w poniedziałek, ryby smażone, wędzone, pstrągi w śmietanie, mule, po fran-



cuskie boillabaisse w sobotę. A w niedzielę 30 procent rabatu za posiłek dla więcej niż sześciu osób. Nic tylko czytać reklamy i jeść za pół ceny. A zatem wiwat pomysły!

*Tadeusz Olszański*

## **Kronika**

◆ 8 stycznia 2018 roku na pl. o. Adama Stubińskiego w Krakowie, obok Krzyża Katyńskiego i tablicy pamięci Sybiraków, odsłonięta została tablica poświęcona pamięci Polaków – ofiar sowieckich zbrodni dokonanych w ramach „Operacji Polskiej” NKWD w latach 1937–1938. Przygotowanie tablicy i towarzyszącej odsłonięciu uroczystości wykonane zostało przez Instytut Pamięci Narodowej – Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie. (DTS)

◆ Zgodnie z wieloletnią tradycją w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie 14 stycznia odbyło się uroczyste spotkanie opłatkowe krakowskiego Oddziału Związku Sy-

biraków. Uczestniczyli w nim m.in. Piotr Ćwik – wojewoda małopolski, Sławomir Pietrzyk – wiceprzewodniczący Rady Miasta Krakowa, Anna Okońska-Walkowicz – pełnomocnik prezydenta Krakowa ds. seniorów, ojciec Jerzy Pająk – duszpasterz Sybiraków, ks. prałat Czesław Sandecki – proboszcz parafii św. Judy Tadeusza i przedstawiciel Kurii Biskupiej, oraz przedstawiciele współpracujących ze Związkiem stowarzyszeń kombatanckich i patriotycznych. Oficjalne spotkanie prowadziła pani Aleksandra Szemioth – przewodnicząca krakowskiego oddziału Związku Sybiraków. Oprawę muzyczną uroczystego opłatka zapewnił zaprzyjaźniony szczerp harcerski z Krzęcina k. Skawiny pod komendą drużyny hm Haliny Jaskierni. Harcerze zaśpiewali *Hymn Sybiraków* i tradycyjne kolędy polskie. (DTS)

◆ W styczniu Urząd Miasta Lublina zdecydował o przeznaczeniu Pałacu Lubomirskich przy pl. Litewskim na Muzeum Ziemi Wschodnich. Do 2019 r. budynek będzie pełnił funkcje dydaktyczno-naukowe Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, a po generalnym remoncie stanie się siedzibą muzealną. Na zakup budynku od uczelni Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przeznaczyło prawie 11 mln zł. W początkowym stadium placówka będzie oddziałem Muzeum Lubelskiego, mającego status instytucji narodowej. A następnie, myślę, że od 2019–2020 r. będzie to już instytucja samodzielna – powiedział na łamach portalu wpolityce.pl minister Piotr Gliński. – To muzeum od dawna oczekiwane. Uważamy, że to obowiązek państwa polskiego, żeby tego typu instytucję stworzyć. Mamy wiele obowiązków z punktu widzenia tej potrzeby narracji o polskich Kresach [...]. Kresy to wielki dorobek polskiej kultury, wielkie nasze dziedzictwo narodowe i ono musi być pokazane, prezentowane, musi być także prowadzona odpowiednia edukacja na ten temat. I to muzeum będzie pełniło taką funkcję.

◆ Rok 2018 został ogłoszony przez Sejm RP Rokiem Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka. Z tej okazji 1 lutego 2018 roku, w dniu setnych urodzin abp. Ignacego Tokarczuka (1918–2012), w Opactwie Jarosławskim odbyła się sesja popularnonaukowa upamiętniająca Jego postać i niezwykłe zasługi dla Kościoła w Polsce. Sesja zorganizowana została przez Ośrodek Kultury i Formacji Chrześcijańskiej im. s. b. Anny Jenke w Jarosławiu oraz Ośrodek Myśli Prymasa Tysiąclecia. Wśród prelegentów byli m.in.: ks. bp Edward Frankowski, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański, ks. prof. dr hab. Stanisław Nabywaniec, prof. dr hab. Sabina Bober, prof. dr hab. Wacław Wierzbieniec. Przy okazji tej uroczystej sesji w jarosławskim opactwie otwarto Izbę Pamięci poświęconą abp. Ignacemu Tokarczukowi oraz odbył się uroczysty koncert organowy w wykonaniu prof. dr. hab. Marka Stefańskiego z Akademii Muzycznej w Krakowie. Sesja objęta została patronatami honorowymi JE ks. abp. Adama Szala – metropolity przemyskiego, Władysława Ortyła – marszałka województwa podkarpackiego i JM prof. dr.

hab. Sylwestra Czopka – rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego. Abp Ignacy Tokarczuk urodził się w Łubiankach Wyższych w woj. tarnopolskim, maturę zdał w 1937 r. w Zbarażu w Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, a studia teologiczne podjął na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie studiując jednocześnie w Metropolitalnym Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie. Wybuch II wojny światowej i okupacja rosyjska, choć przerwały normalny tok studiów młodego kleryka, to nie zatrzymały go w drodze do kapłaństwa. Święcenia kapłańskie przyjął w 1940 r. we Lwowie z rąk wówczas biskupa pomocniczego ks. Eugeniusza Baziaka. Od sierpnia 1942 r. pracował jako wikariusz w parafii św. Stanisława Biskupa w Złotnikach w rejonie Trembowli, gdzie uczestniczył w tajnym nauczaniu. W lutym 1944 r. ostrzeżony został o wydaniu na niego wyroku śmierci przez Ukraińską Powstańczą Armię, zbiegł do Lwowa, gdzie w parafii św. Marii Magdaleny pracował jako wikariusz do listopada 1945 r., kiedy został wydalony z miasta. W 1965 r. papież Paweł VI mianował go biskupem diecezjalnym diecezji przemyskiej.

◆ 4 lutego 2018 w Krakowie, w 98. roku życia i w 72. roku kapłaństwa, zmarł najstarszy dominikanin w Polsce – Ojciec Reginald Stanisław Wiśniowski, rodem z Czortkowa na Podolu. Pisaliśmy o tej nietuzinkowej postaci w naszym kwartalniku nr 4/2000 (Pielgrzymka do MB Czortkowskiej), następnie z okazji 60-, a potem 70-lecia jego kapłaństwa (nr 4/2005 i 4/2015), więc nie będziemy powtarzać tu jego dokonań jako kapłana. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 8 lutego. Zapoczątkowała je msza św. w kościele oo. Dominikanów pw. Świętej Trójcy. Przewodniczył jej bp Jan Szkołodź, a w koncelebry brało udział kilkudziesięciu współbraci zakonnych z całej Polski. Tak się bowiem złożyło, że w czasie gdy o. Reginald umierał, odbywały się obrady kapituły, która miała wybrać nowego prowincjała. Tak więc o. Reginald umierał otoczony modlitwą współbraci ze wszystkich klasztorów dominikańskich w Polsce. Jak wspominał o. Paweł Kozacki, nowo wybrany (powtórnice) prowincjał: *To niezwykła łaska umierać w otoczeniu tak wielu braci z różnych klasztorów*. Kazanie przy trumnie o. Reginalda wygłosił o. Marek



Rozpłochowski. To też znamienne, że najstarszego dominikanina żegnał najmłodszy dominikanin mieszkający w klasztorze przy ul. Stolarskiej, który przez ostatnich kilka lat z oddaniem opiekował się o. Reginaldem. Ojciec Marek wspominał, że kiedy zaczął przychodzić do celi o. Reginalda, ten bardzo dużo opowiadał mu o rodzinnym Czortkowie, ale z czasem, gdy pamięć o. Reginalda już mocno szwankowała i nie pamiętał tego, co opowiadał, to o. Marek opowiadał mu o Czortkowie. Reakcja o. Reginalda była taka, że o. Marek musi być czortkowiakiem, skoro tak wiele wie o Czortkowie. Nie tylko o Czortkowie były to opowieści. Jak powiedział o. Marek: *Opowiadał mi o wybitnych ojcach dominikanach, których spotkał, o tym, jak niegdyś wyglądało życie w klasztorze. Słuchając go, uczyłem się wdzięczności. Bo to, że mogę nosić ten habit, zawdzięczam takim ojcom jak Reginald, tym, którzy nas wszystkich poprzedzili. Nie ma w tym żadnej naszej zasługi. Dla nas nagroda za dobre jest u Chrystusa.* Po uroczystościach w kościele trumnę z ciałem o. Reginalda przewieziono na cmentarz Rakowicki i złożono w grobowcu dominikańskim. Dla piszącej te słowa ważne było nie tylko pokrewieństwo z o. Reginaldem (moja babcia i jego matka były siostrami), ale to, że był jedną z osób, które wpłynęły na moje zainteresowanie Kresami i tym, co teraz robię. Coroczne spotkania Czortkowiaków przy obrazie MB Czortkowskiej u oo. Dominikanów na ul. Freta w Warszawie czy spotkania w trzeci dzień Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy w klasztorze oo. Dominikanów w Krakowie, przez wiele lat prowadzone przez o. Reginalda, były żywą lekcją historii Czortkowa i ludzi tam kiedyś mieszkających. Ojciec Reginaldzie, niech Pani nasza Czortkowska, czczona w obrazie-darze króla Jana Kazimierza, obdarzy Cię łaską Bożą i da wieczne zbawienie.

(Anna Madej – prezes Klubu Tarnopolan przy TMLiKPW Kraków)

◆ 10 lutego 2018 r. w forcie Skotniki, w którym znajduje się Centrum Dokumentacji Zsyłek, Przesiedleń i Wypędzeń, odbyło się spotkanie członków Związku Sybiraków w 78. rocznicę wielkiej wywózki Polaków z Kresów Wschodnich w głąb Związku Sowieckiego (10.02.1940). Spotkanie prowadził

prof. Hubert Chudzio – dyrektor Centrum. Zgromadzenie zaszczyliłi przedstawiciele i delegaci władz krakowskich, wojewódzkich i miejskich, a także centralnych z Warszawy. Ważnym punktem programu było wręczenie medali Pro Patria przyznanych przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych dziewięciu wieloletnim zasłużonym członkom krakowskiego Związku Sybiraków, czego dokonał pan Piotr Kolanowski. Wśród odznaczonych byli: Zofia Ciesielska, Danuta Krystyna Głuszek, Wiesław Krawczyński, Jan Kwiatkowski, Maria Pietras, Aleksandra Szemioth, Kazimierz Szymański, Lech Trzaska i Krystyna Wierzbička. Drugim ważnym punktem programu było podpisanie porozumienia między Związkiem Sybiraków a Centrum Dokumentacji o przekazaniu kopii materiałów zgromadzonych w Związku w celu korzystania i udostępniania ich przez Centrum. Pani Anna Hejczyk przedstawiła sprawozdanie na temat działalności Centrum za 2017 rok i informację o przystąpieniu do 5-letniego projektu zatytułowanego *Pokolenia odchodzą*. Podczas spotkania zaprezentowano filmy: *Historia jednego pudełka* – o odzyskaniu pamiątek po polskim wojskowym w Anglii oraz *XVII Międzynarodowy Marsz Żywej Pamięci Sybiru w Białymstoku we wrześniu 2017 r.* Na zakończenie spotkania harcerze z Krzęcina, współpracujący z krakowskim Związkiem Sybiraków, wystąpili z przygotowanym na tę okazję koncertem. W kościele garnizonowym pw. św. Agnieszki o. Jerzy Pająk odprawił dla Sybiraków uroczystą mszę św. (DTS)

◆ 26 marca 2018 r. w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie odbyło się spotkanie z Krzysztofem Kołtunem, autorem książki pt. *Bestialstwo UPA pod Lubomlem na Wołyniu*, wydanej na jubileusz 600-lecia Jagodzina i Rymacz. Miejsowości te założone zostały w 1417 roku przez króla Władysława Jagiełłę w podzięcie za udział w zwycięskiej bitwie pod Grunwaldem Chorągwi Wołyńskiej w 1410 roku. W miejscu, które król polubił, kazał postawić murowany kościół, przy którym powstało miasteczko Lubomel. Autor, mieszkający w przygranicznym Chełmie, wychowany w rodzinie wołyńskiej, związany uczuciowo z powiatem lubomelskim, przez lata odbył niezliczoną ilość podróży na Wołyń. Badał

ślady pozostałości po polskich miejscowościach, których nie ma już na współczesnych mapach. Spalone, zarosły dziką roślinnością. Na ich terenie znajdują się doły śmierci kryjące ofiary ludobójstwa upowskiego, głównie z 1943 roku. Autor zbierał relacje od nielicznych świadków uratowanych z rzezi wołyńskiej, a mieszkających w większości na lewym brzegu granicznego Bugu. Relacje świadków spisane zostały w czterdziestu rozdziałach. Krzysztof Kołtun stara się pisać w sposób obiektywny, ale same fakty mówią o bestialstwie upowców. Lektura jest bardzo trudna w odbiorze, zwłaszcza dla wrażliwych czytelników. Dla przykładu podaję relację z jednego z pierwszych rozdziałów zatytułowanego *Chutor za Wolo Ostrowiecko*: Wołę Ostrowiecką przed świtem w poniedziałek 30 sierpnia 1943 r. szczerlnie otoczyli bulbowcy. Kto uciekał – zastrzelili. Bulbowcy zachowywali się okrutnie. Zagnali do szkoły ponad 400 osób. Bili kolbami, deptali małe dzieci. Popodpierali drzwi i okna, obłali benzyną i podpalili. Cała szkoła ze stłoczonymi ludźmi stała w ogniu. Straszny był widok konających w płomieniach i dobijanych granatami. Wieś z całym dobytkiem pozostała do ograbienia przez Ukraińców – sąsiadów. Przez kilka dni wywożono majątek po zamordowanych Polakach, zwanych w okolicy „Mazurami”. Kilkadziesiąt analogicznych opisów prawdziwych tragedii znajduje się na kartach książki. Wszystkie je łączy teren, na którym mieszkała ludność polska przeznaczona do zniszczenia. Tylko niektórym udało się uciec za Bug. A przecież w warunkach pokojowych mieszane społeczeństwo wołyńskie żyło w miarę spokojnie, miało swoją historię, kultywowało zwyczaje, język, religię. Pozostał żal i nostalgia za utraconą ziemią i dawnymi czasami. Książka zadedykowana jest pamięci Polaków i Ukraińców zamordowanych przez UPA – ku przestrodze młodemu pokoleniu. A ostatnie zdanie jest też przesłaniem: *Prawdę trzeba poznać, mogiły i „doły śmierci” pokazać młodemu Polakom i Ukraińcom. Tak było. To się zdarzyło w XX wieku w chrześcijańskiej Europie. I tego nie można zrozumieć...* Książka została wydana przez lubelskie Wydawnictwo Norbertinum. (DTS)

◆ 12 kwietnia w kościele OO. Karmelitów na Piasku, w stulecie śmierci Tadeusza Ru-

towskiego (ur. 2 grudnia 1852 r. w Tarnowie, zm. 30 marca 1918 r. w Krechowie koło Żółkwi), prezydenta miasta Lwowa, odprawiona została uroczysta msza święta. O Tadeuszu Rutowskim piszemy na łamach tego numeru CL.

◆ 21 kwietnia w Collegium Maius UJ w Sali im. Michała Bobrzyńskiego odbyła się konferencja naukowa pt. *Muzyka Armenii i Ormian polskich*. W konferencji uczestniczyli prof. dr hab. Krzysztof Stopka (mówił o kulturze dawnej Armenii), Jakub Kopczyński (wygłosił referat pt. *Ormiańska muzyka religijna – przeszłość i teraźniejszość*), Natalia Podolska (wygłosiła referat pt. *Muzyka ormiańska a Komitas Wardapet*), Zofia Trystuła-Hovhannisyan (wygłosiła referat zatytułowany *Duduk – starożytny symbol kultury Ormian*) i dr hab. Andrzej Zięba (opowiadał o *Muzyce w dziejach polskich Ormian*). W godzinach popołudniowych w Auli Florianka Orkiestra Kameralna i Chór Akademii Muzycznej z towarzyszeniem solistów zaprezentowały koncert muzyki ormiańskiej i europejskiej.

◆ W niedzielę 22 kwietnia 2018 r. w parafii św. Stanisława BM w Krakowie-Dąbiu podczas mszy świętych wystąpił kwartet męski z Tarnopola „Wyszywanka”. Zespół złożony z artystów Filharmonii Tarnopolskiej wykonał kilka pieśni sakralnych, także wielkanocnych. W dowód uznania za piękne wykonanie artyści zostali nagrodzeni gromkimi brawami. (DTS)

◆ Zaproszenie od Tarnopolan! Serdecznie zapraszamy Wszystkich Kresowian na XXXII (już) Tarnopolski Zjazd Kresowian, który odbędzie się w dniach 11–14 czerwca 2018 r. w Nysie. Miejsce Zjazdu: Ośrodek Formacyjno-Wypoczynkowy „Rybak” 18B, 48-300 Nysa-Głębinów. Kontakt do organizatora zjazdu: Janina Stadnik tel. 77 433 50 91 (najlepiej po godz. 20.00). W programie m.in.: spotkanie z biskupem opolskim, prezentacja Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie (11.06.2018), uroczysta akademie w NDK w Nysie, występ karaoke zespołu Bel-Lis (12.06), koncert chóru działającego przy Towarzystwie Kultury Polskiej w Tarnopolu (13.06), zwiedzanie Nysy, wystawa *Tarnopolskie archiwum rodziny Blicharskich*.

## I strona okładki:

Na okładce portret Tadeusza Klemensa Rutowskiego, urodzonego 2 grudnia 1852 roku w Tarnowie, pędzla Stanisława Kaczor-Batowskiego. Tadeusz K. Rutowski był polskim działaczem społeczno-politycznym i samorządowym, dziennikarzem, publicystą, ekonomistą, posłem na Sejm Krajowy VI, VIII, IX i X kadencji we Lwowie i do Rady Państwa VII, VIII i IX kadencji, urzędnikiem Wydziału Krajowego. Przez lata był zastępcą prezydenta miasta Lwowa, a w najcięższym dla miasta okresie I wojny światowej – prezydentem. Trzeba też wspomnieć o jego roli jako mecenasu kultury i członka honorowego Towarzystwa Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu od roku 1893. Prezydent Tadeusz Rutowski, powszechnie uchodzący za obrońcę i opiekuna Lwowa, nie doczekał odzyskania przez Polskę niepodległości. Zmarł, po powrocie z rosyjskiej niewoli, w Krechowie koło Żółkwi 30 marca 1918 roku.



---

### Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

### Prezes Zarządu:

Adam Guyrkovich

---

### Rada Programowa:

Stanisław Czerny – wiceprezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkovich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – Kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

### Redaguje zespół:

Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny) – tel. 608 155 693, [cracoviaeopolis@gmail.com](mailto:cracoviaeopolis@gmail.com)

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiuścacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytulow. Artykulow niezamowionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, ktore stanowią wyraz pogladow ich autorow.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Janusz M. Paluch KARAWANA IDZIE DALEJ...	1	Sławomir Bońdok GRAFIKA LWOWSKA	46
Jan Morelowski WSPOMNIENIE O WIELKIM POLAKU	1	Poezja STANISŁAWÓW W WIERSZACH PROF. EWY NAWROCKIEJ	50
Aleksandra Solarewicz KAZIMIERZ NAŁĘCZ-RYCHŁOWSKI. ZAPOMNIANY TŁUMACZ...	6	Sławomir Gowin LEONEK SAMOGONEK, CZYLI PRAWDZIWA HISTORIA PEWNYCH PŁYNÓW SPOŻYWANYCH WE LWOWIE	52
Jan i Piotr Świtalscy SZEŚCIU OBROŃCÓW OJCZYZNY	13	Książki ♦ czasopisma Jacek Jarosław Gaj BESTIALSTWO UPA POD LUBOMLEM NA WOŁYNIU	54
Proza Wiesław Helak NAD ZBRUCZEM	19	Andrzej Chlipalski PRAWO RZYMSKIE NA LWOWSKIM UNIWERSYTECIE	55
Rozmowa Janusz M. Paluch ROZMOWA Z JANEM WINGRALKIEM	25	Beata Bednarz ATLANTYDA WG CHCIUKA	56
Poezja Krzysztof Kołtun WSTAŃCIE! CHODŹMY!	31	Danuta Trylska-Siekańska LATYCZOWSKA MADONNA	58
Karolina Grodziska PISZ PAN, PANIE WIK!	32	KAINOWE DNI	58
Natalia Tarkowska OSTATNI POLSCY MIESZKAŃCY KOSOWA	35	Janusz M. Paluch RZECZ O „POLSKIM GAUDIM”...	59
Michał Piekarski MUZYKA LWOWA I KRAKOWA	39	Tadeusz Olszański W POGONI ZA POMYSŁAMI	60
Zbigniew Wawszczak ODSZEDŁ BOLESŁAW OPAŁEK (1925–2018)	44	KRONIKA	61